

BLUSZCZ

*spoleczno-literacki ilustrowany
tygodnik kobiecym*



W a r s z a w a,
S o l e c 87.

„BLUSZCZ“

społeczno-literacki
ilustrowany tygodnik kobiecy

Ś-to Krzyska 17, m. 3, tel. 6-76-72

telefon 2-44-18.

W a r s z a w a,

Ś-to Krzyska 17 m. 3.

telefon 6-76-72.

Redaktor ki: *STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW* (naczelnia) i *MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW*

Dział robót pod kierownictwem *JADWIGI KORZENIOWSKIEJ*

Dodatek „Wychowanie i szkoła“ pod kierownictwem *WANDY BORUDZKIEJ*

Redakcja i Administracja: Warszawa — Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-03.

KLISZE WYKONUJĄ WŁASNE ZAKŁADY FOTO-CHEMIGRAFICZNE.

Treść numeru:

Bolączki inteligencji — *N. J. Poczje*: Odlot jaskółek — *Stanisława Sznaper*. Na wózku — *S. Borowska*. Z zabytków sztuki ludowej na Podhalu — *Michał Szymański*. Szkoła entuzjazmu — *S. P. O.* Po zwycięstwie — *Dr. Feliks Burdecki*. Poezje: Staroświeckie i nowoczesne — *Beata Gamarnicka*. To, co najważniejsze — *Hanna Skarbek - Peretjakiwicz*. Kobiety na stanowiskach kierowniczych — *St. Osińska*. „Na obozie wesolutko“ — *Marja Woźnia kówna*. Z teatrów — *S. P. O.* Z ubiegłego tygodnia — *H. N.* Nasz lekarz: Angina — *S. E.* Higjena i piękno stopy — *Dr. Med. Zofja Rostkowska*. Kobieta w świecie i w domu. Ogrodnictwo i hodowla. Kilka uwag o sadzeniu drzew — *Marja Dąbrowa*. Hiacenty — *Marja Dąbrowa*. Kury się pierzą — *Marja Dąbrowa*. Dom i gospodarstwo: Sery — *Wanda Dobrzańska*. Przepisy gospodarskie — *Melba*. Mody.

WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie—4.50 zł. kwartalnie—13.50 zł., rocznie—54 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 5.20 zł. Zmiana adresu — 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 m. 3.

Konto P. K. O. WARSZAWA Nr. 3700.

W y d a w c a : Tow. Wydawnicze „Bluszcz“, Sp. z ogr. odp

Pracownicy umysłowi korzystają z 20% ustępstwa.

WARUNKI OGŁOSZENIOWE:

	zł.
1/1 str. tekstu —	700.—
1/2 „ „ —	400.—
1/4 „ „ —	200.—
1/8 „ „ —	100.—
1/16 „ „ —	50.—
1/32 „ „ —	30.—

	zł.
1/1 str. okł. —	500.—
1/2 „ „ —	250.—
1/4 „ „ —	150.—
1/8 „ „ —	80.—
1/16 „ „ —	50.—
1/32 „ „ —	30.—

	zł.
1/1 str. okł. —	600.—

Przy ogłoszeniach seryjnych prosimy o żądanie ofert.

Ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń w kraju i zagranicą, oraz biuro Tow. Wyd. „Bluszcz“ — Warszawa, Solec 87, tel. 6-26-44, 2-44-18 i 5-87-03. Cena artykułów reklamowych w tekście wedle specjalnej umowy.

Tygodnik „BLUSZCZ“ ze względu na swoje liczne i szerokie sfery czytelniczek, jest doskonałym organem reklamowym dla wielu artykułów z dziedziny zainteresowań kulturalnej kobiety.

Czytelniczki „BLUSZCZU“ powinny nabywać tylko te towary, które zaleca im ich ulubione czasopismo.

Bluszcz

SPOŁECZNO-LITERACKI
I LUSTROWANY
TYGODNIK KOBIECY

Bolączki inteligencji

Mówić obecnie o niedostatkach jest i wdzięcznie i trudno. Z jednej strony dobrze: temat, jakich mało, cały świat obchodzi ta sprawa, bolączka międzynarodowa, krajowa. Wszystkich razem i każdego z osobna. Każdy odnajdzie w niej coś, co go dotyka i będzie chętnie o tem dyskutował. Z drugiej strony jednak jakże tu zbytnio narzekać na coś, co jest tak powszechne, a zwłaszcza jak wyodrębnić jedną klasę, czy stan społeczny?

Dzisiejsza demokratyzacja zniosła przecież w dodatku różnice stanowe, czy klasowe, czemże wobec tego jest i czy jest „stan“ inteligencki?

Cóż zrobić, jest jednak. Jesteśmy wszyscy równi wobec prawa, jesteśmy napewno daleko od podziału na stany, a mimo to różnice klasowe między ludźmi są bardzo wyraźne, tylko że teraz mniejszy ma na nie wpływ nazwisko i urodzenie, a przeważnie normuje je praca zawodowa.

I ta właśnie klasa zawodowo pracującej inteligencji ma się bardzo nieświetnie. Prócz nielicznych wyjątków, cała ta warstwa ludzi, o wysokiej nieraz kulturze duchowej i takiej samej kulturze nawyków ma skalę zarobków tak niską, że jeśli chce wyżyć, to żyje poniżej poziomu kulturalnego człowieka.

Jak sobie radzą ludzie? Różnie: wchodzą w długi, albo biedują, oszczędzając do ostatecznych granic na życiu, albo gniją się w mieszkaniu, w którym wszystko jest nie do zniesienia, w brudzie i ciasnocie.

Jeżeli ktoś ma rodzinę, zarabia zwykle więcej. Czy to ułatwia sytuację? Też nie. Rodzina może nieco taniej mieszkać, życie kilku osób obliczyć też można oszczędniej, prawda, ale ile przybywa zato wydatków, jakaś usługa, kształcenie dzieci, wyjazd na letnisko, bezwzględnie większe obowiązki towarzyskie, bo przecież dom, trzeba przyjąć kogoś, choćby tylko rodzinę.

I tak źle i tak nie lepiej.

A jakże wyglądać może w tych warunkach życie kulturalne?

Ot, chciałoby się np. pójść, choćby do kina, niedrogo, od 50 groszy (nawet!), ale przecież nie zawsze idzie jedna osoba, dwie, trzy to już parozłotowy

luksus. Cóż mówić o teatrze! Dziś mamy wprawdzie życie publiczne, dostarczające nam wielu wrażeń i przeżyć, rola teatru w życiu nie jest już tak ważna, jak była w czasach przeszłych, gdy teatr był jedyną mównicą publiczną, niemniej jednak jest on dla kulturalnego człowieka niezbędny, skąd na to wziąć?

A jeśli mówimy o udziale w szerszym życiu na zewnątrz, to przecież wymaga on także wydatków i to dużych, jak na kieszeń inteligenta. Jakże gorąco brała udział cała Warszawa w Turnieju lotniczym, ale najskromniejsze miejsce, stojące na lotnisku wynosiło dla rodziny, z paru osób złożonej, parę złotych. A jeśli ktoś chciał być codziennie? Na wszystkich próbach zawodów? Trudno, każda rzecz musi kosztować organizację, która daną imprezę urządza i ta organizacja pobrać musi zwrot kosztów, ale skąd ma wziąć na to inteligent pracujący?

Cóż mówić o sporcie. Młodzież nasza entuzjazmuje się do niego i potrafi nieraz zdobywać sobie utensylja sportowe naprawdę bajecznym przemyśłem. Znam chłopców, którzy wyspecjalizowali się w klejeniu małych modeli samolocików, sprzedają je za grosze, aby mieć na drobne, drobniotkie wydatki sportowe, inni znów „wydłubali“ sobie sami kajak drewniany. Są to śliczne prace, a jednak i te nawet cudownie zdobywane przybory kosztują coś jednak i wiele rodziców nie ma na nie. Piłki, pantofle sportowe, rakiety, narty, ile to wszystko wynosi i jakich nieraz ciężkich wymaga ofiar, z najkorniejszych potrzeb własnych. Narzekamy też na zanik rozwoju czytelnictwa, na to, że inteligencja nie czytuje i zwłaszcza nie kupuje książek. Zapytuję znów, za co? Jeden, dwa dzienniki, jeden, drugi tygodnik, jakieś pismo specjalne, które przecież każdy pracownik abonować musi, są dziś niedościgłym ideałem. Inteligencja kupuje dziś głównie pięcio i dziesięciogroszówki. Skąd wziąć na książki? Tembardziej, że przeciętną literaturę „wagonową“ nabyć można za grosze, ale dzieła wartościowe, klasyczne, „filary“ biblioteki i dobre nowości stoją zawsze na poziomie od kilku złotych za tom.

Dziwne to jest, ale wygląda tak, że wszystkie pensje, gaże, honorarja, wszystkie zarobki stałe, zostały przez kogoś skrupulatnie obliczone właśnie w ten sposób, aby na żadne duchowe przyjemności nigdy nikomu nie starczyło.

Czy można się potem dziwić, że ludzie zabiegają tłumnie o tak zwaną „darmochę“, kartki do teatru i na różne imprezy i widowiska?

Alóż, powie ktoś, jest tyle ulgowych biletów dla wszystkich stowarzyszeń i instytucyj, są takie tanie wycieczki.

Właśnie. I Kraków tani za grosz. Bilet do teatru można mieć za trzy, lub nawet za 2 złote, ale doliczmy do tego tramwaje, szatnię, dozorcę, pomnóżmy przez trzy, cztery osoby, ile wypadnie? Przeprowadźmy tę samą operację z najtańszą wycieczką!

Jednak wszystkie restauracje, cukiernie, dancinigi przepełnione.

Nic dziwnego, w stolicy jest przecież jeszcze trochę ludzi zamożnych, jest i sporo niebieskich ptaszków, spędzających życie na terenie kawiarni, nie dowodzi to niczego. Przeciętny pracownik z klasy inteligencji nie ma ani grosza na kulturalną rozrywkę, bardzo mało na ubranie, znowu nie na wypadek choroby i chwilowej niezdolności do pracy. Ma ubezpieczalnię, prawda, ale wiemy wszyscy, jak ta instytucja, będąca, pomimo swych wielu wad, dobrodziejstwem dla pracowników fizycznych, i dla najbiedniejszych, mało jednak daje w chorobie inteligencji troszeczkę zamożniejszej, a zwłaszcza z innymi nawykami kulturalnymi.

Powie ktoś znów może: nie trzeba narzekać, jeśli ktoś ma pracę i skromne choćby wynagrodzenie, a iluż jest bezrobotnych!

Tak, ale to zupełnie inna kwestja. Życie, złe warunki ogólne, gnębią ludzi, wytwarzając ten lękliwy nastrój: niech będzie najmniej, byle było, ale to nie jest naturalne, to nie jest normalne życie. Człowiek bez pracy jest biedakiem, głoduje, walczy, stara się o tę pracę, ale nie ma za to obowiązku dania maximum sił i zdolności na swem stanowisku. Nikt nic odeń nie wymaga, kiedy tymczasem od człowieka pracującego wymaga się wszystkiego: sił i zdrowia, które można mieć tylko w jakim takim bycie, sprawności, potrzebującej t. zw. spokojnej głowy, nie udreżonej ciągłymi długami i kłopotami, więcej, ileż razy wymaga się polotu umysłowego, znajomości szerokiego nurtu kultury i wszystkich jej spraw.

Jak ma zdobyć to wszystko inteligent?

Jak utrzymać się na poziomie całokształtu kultury, tak wysokiej obecnie i ciągle biegnącej naprzód z zawrotnem tempie? Chcąc być naprawdę „w kursie“ życia współczesnego, trzeba czytać, nietylko czasopisma, ale dobre, nowe książki, bywać na odczytach i zebraniach, w teatrze, pojechać tu i owdzie, zobaczyć, jak żyją inne narody, nietylko poznać przedewszystkiem swój kraj, który tak niesłychanie wiele daje nam dziś wrażeń i który znać jest obowiązkiem każdego obywatela. Trzeba podążać za rozwojem życia, a jakże trudno podążać temu, kto musi, po przyjsciu z zajęcia, siedzieć w domu, bo każde „wyjście w świat“, to wydatek, najskromniej licząc, paruzłotowy, a te parę zło-

tych nie mieszczą się w budżecie przeciętnego, pracującego inteligenta.

Jest to więc przymusowa bieda kulturalna, bieda gorsza nieraz i daleko dotkliwsza od niezaspokojenia jakiegoś materialnego wymagania.

Mówi się często, że ludzie „prości“, robotnicy, rzemieślnicy i inni pracownicy różnych kategorii żyją lepiej. Kto tylko z nich ma pracę, potrafi oszczędzać, składać przyzwoite sumki do P. K. O. Kupować sobie mieszkania, meble. Zupełna racja, znam osobiście kilka takich rodzin. Cóż dziwnego, wykwalifikowany pracownik fizyczny zarabia czasem więcej od średnio sytuowanego inteligenta, częściej tak samo, lub niewiele mniej.

A skala życia jest inna. Nic na to nie poradzimy. Możemy zachwycać się kulturą krajów takich jak skandynawskie, gdzie trudno odróżnić robotnika od ministra i gdzie obaj idą do jednej kawiarni, możemy dążyć do tego zniwelowania klas społecznych na platformie kultury, ale dziś stan rzeczy jest inny i niema rady. Każda pozycja, począwszy od mieszkania, a skończywszy na rozrywkach i obowiązkach towarzyskich przedstawia się w tych dwóch sferach zupełnie różnie.

Jak jednak zaradzić na tę kulturalną pauperyzację inteligencji? Sprawa podniesienia zarobków jest zbyt trudna: kryzys. Jesteśmy rzeczywiście w tem położeniu, że musimy przetrwać za wszelką cenę i nietylko przetrwać, ale budować nasz byt i tworzyć nowe życie, choćby w najcięższych warunkach.

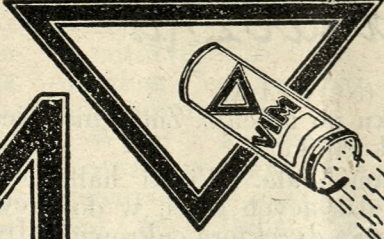
Czy nie można ich poprawić?

Nie możemy zaprzeczyć, że inteligencja wlecze za sobą ciężki balast różnych, zbędnych nawyków „starych, dobrych“ czasów, że jest często nieruchawa, nieporadna, zbyt pańska, snobistyczna i nie umie wziąć właściwego tempa życia nowoczesnego. Trzebaby tu to i owo zmienić, to i owo zorganizować zbiorowo. Jako przykład mogą tu służyć choćby spółdzielnie mieszkaniowe. Przed dziesięciu laty sytuacja była wprost rozpaczliwa, dziś jest już inaczej. Zarówno spółdzielnia jak i zbudowane przez nich mieszkania mają X wad, wszystko (jest wciąż jeszcze za drogie, często zorganizowane z niewielkim sensem, ale jednak jest i wypełnia jako tako najgorsze braki. Należałoby objąć podobną organizacją całokształt potrzeb życiowych, dążąc wciąż do większego jeszcze uprzywilejowania, a licząc się głównie i jedynie z potrzebami tych, co zarabiają najmniej i najtrudniejsze mają warunki życiowe.

Aby do tego dojść, aby zdać sobie dokładnie sprawę z sytuacji obecnej i ze środków jej ulepszenia, poznać przedewszystkiem siebie samych, zrozumieć, co utrudnia nam zastosowanie się do nowego dla wielu i niełatwego położenia. Trudność związania końca z końcem, podolania finansowo swemu stanowisku to ciężka bolączka inteligencji, ciężka, ale nie jedyna. Są inne, które bywają czasem przyczyną tego trudnego życia, które prowadzimy, przyczyną nie wyłączną, rzecz prosta, ale dosyć ważną.

O tych innych bolączkach, których sporo się zbierało, pomówimy w następnych artykułach.

N. J.

VIM  **UNIWERSALNY ŚRODEK DO CZYSZCZENIA**
PRAKTYCZNA PUSZKA **40**
OBECNIE TYLKO GROSZY

STANISŁAW A SZNAPER

Odłot jaskółek

*Kołysze się wielkie niebo.
 Łopocze od wiatru.
 Szarość chmurna, jak zorana gleba,
 Pomraca raz po raz, jak natręt.*

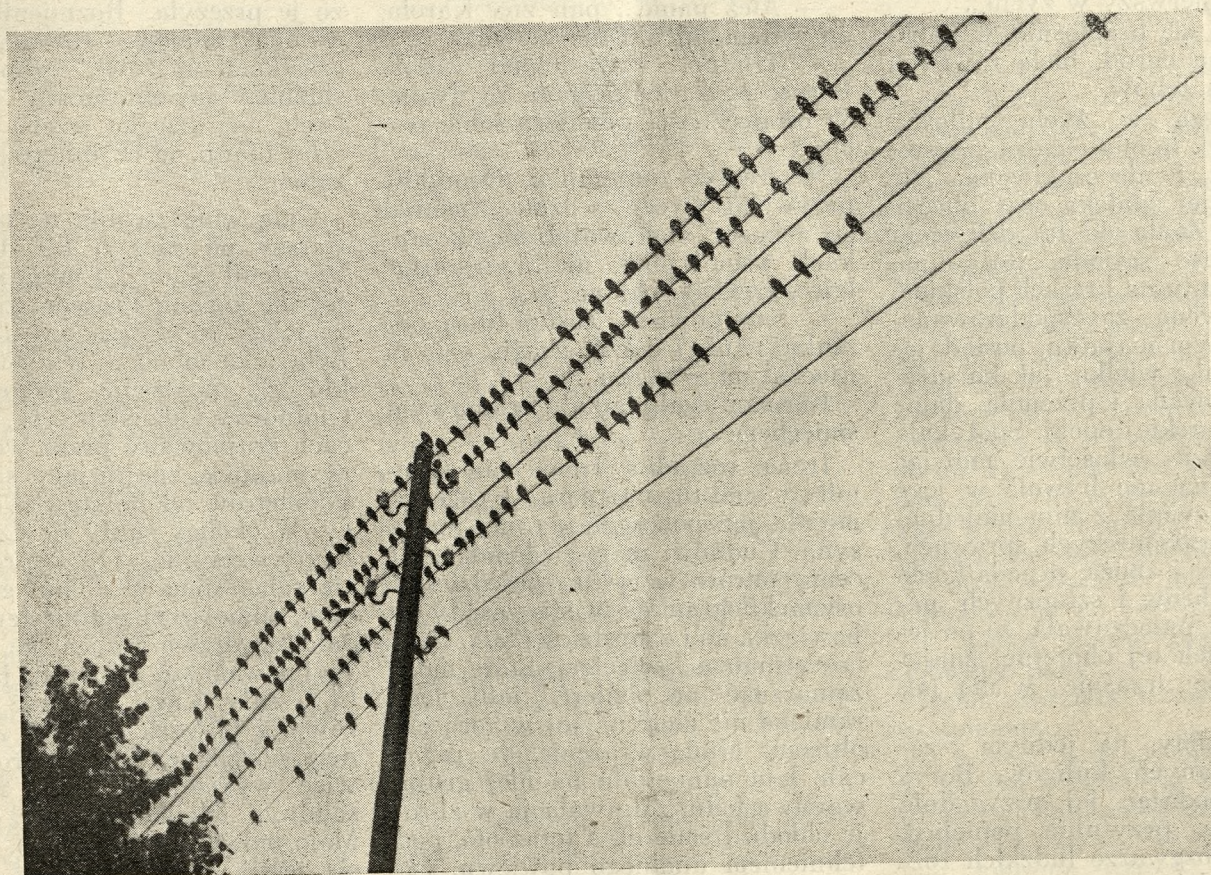
*Zachłystują się miednące drzewa
 Haustami zarwiei.
 W ziębłych słupach telegraf śpiewa
 Drutami nad koleją.*

*Jaskółki, lękiem zatrute,
 Dotknięte chłodem jesiennym,
 Zbierają się na drutach,
 Żeby poznać melodię przestrzeni.*

*Nikt nie mówił. Wiedzą to same,
 Że trzeba się wstuchać w przestrzeń,
 By odlecieć, jak pieśń telegrafem,
 Lunatycznie, nieprzytomnie, koniecznie.*

*I pewnego dnia, szarem powietrzem,
 Skońtunionem, puszystem, jak owca,
 Poszybują według praw odwiecznych
 Czarne, maleńkie szybowce.*

*Twarz słońca, śmiertelnie blada,
 Raz ostatni zwoje chmur rozmota,
 I wystąpi, przyjąc defiladę
 Jaskółczego, smutnego odłotu.*



Odłot jaskółek.

(fot. Poddębski).

Na wózku

(NOWELA)

Przez otwarte okno wpływała do pokoju wiosna.

Irena spozrzała na zawieszony w seledynie nieba wążutki sierp miesiąca i pomyślała:

— Był dotąd niepotrzebną ozdobą, rzuconą tam w górze nad mojem prozaicznym życiem. Teraz dopiero nabral sensu i znaczenia...

Przesunęła ręce wzdłuż swojej postaci. Doznała rozkosznego samopoczucia własnej zgrabności i obwieściła znowu księżcowi:

— Świat jest cudowny. Ani spostrzegę się, kiedy moje cielsko stanie się tą najszeptniejszą rzeczą, jaka będzie istniała na tej prześlizanej, wiecznie młodej ziemi. Czterdzieści lat...

— „No, ale nie dzisiaj i nie jutro jeszcze“... — dokończyła bez troski. Odkąd stało się to, Irena bywała często nieprzytomną ze szczęścia, czasami także z rozpacz. Bo to — to była miłość. Pierwsza miłość w jej życiu. Trochę spóźniona, ale nikt nie wybiera swej godziny. Trudno. Niech drwiał szyderce, niech się gorszą dewotki, niech przeklina mąż, niech płacze syn... Ach, nie, syn nie będzie płakał. Jakoś się to ułoży. Niech się zapada w ziemię Cudnow, gospodarze budynki, żywy i martwy inwentarz, podatki i sekwestratorzy, ach, zwłaszcza sekwestratorzy... Wszystko... Ona kocha się po raz pierwszy w życiu...

Uśmiecha się bezgłośnie, w pachnący wiosną ogród, bielą równych zuchwałych zębów.

— Pierwsza w życiu miłość... Przyszła, jak to ona chadza zawsze: nieproszona i nieoczekiwana. Nie przyniosły jej zdaleka oczy obcego przybysza. Znała od lat dziesięciu tego żonatego sąsiada, Rosjanina, obdarzonego tu na kresach polskim obywatelstwem, zagospodarowanego na żoninym majątku, posiadającego małżonkę wielką, jak karjatyda, utalentowaną i przemilą, damę z ubiegłej carskiej epoki. Spotykała go tu i ówdzie, właściwie mówiąc wszędzie, choć nie bywała w jego domu, rozmawiała z nim niejednokrotnie o gospodarczych sprawach, cenach paszy i zboża, o podatkach, mleczości krów i sztucznych nawozach. Ani przeczuwała, że po jedenastu latach tej obojętnej znajomości, miłość „trzaśnie“ w nią jak piorun.

Ubiegłej zimy, na jednym z zaimprowizowanych kuligów, Borys Demidow podając jej przygodnie futro, lekkie, przytulne popielice, szepnął w rozgwarze ludzkich rozmów i śmiechów:

— Taki paltocik na taki mróz i

to w dodatku po tańcu!... Zmarznie moje małe kociątko...

Irena skamieniała. Wielki hall, pełen wyjeżdżających gości, w domu uprzejmego dyrektora cukrowni zawirował dwukrotnie przed jej oczami, jak pijany. Zwróciła się do mówiącego twarzą i spozrzała nań nieprzytomna. Uśmiechał się niewiarogodną bielą zębów, ani zuchwale, ani zwycięsko, ani cynicznie, ani dowcipnie... Poprostu serdecznie i czarująco. Był wyższy od Ireny prawie o głowę, więc bezwiednie uniosła twarz ku górze i zastygła tak, z oczami w tamtych oczach, wyprostowana, jakby w jakiejś lunatycznej ekstazie, nieświadoma zupełnie piękności własnej pozy.

Borys jednak nie chciał, aby czar tej chwili zmałyły spozrzenia obojętnych a ciekawych. Ujął ją pod ramię i rzekł spokojnie:

— Pojedziemy razem. Niechaj mąż pani trochę się kłopotuje i szuka...

Irena odzyskała tyle przytomności, że wyjąkała speszona:

— No, ale... żona pana...

— Może wróci z pani mężem — zaśmiał się Borys.

Lojalność względem wszystkich i wszystkiego była najbardziej zabójczą z cnót Ireny. Zatraskała się więc nie na żarty:

— Ależ panie... pan zna Karola, on godzinami nic nie mówi...

— Trudno, — westchnął wesoło Borys. — Katieńka gada za dwoje. W ostateczności pomilczą sobie trochę...

Wyszędłszy na ganek, Demidow przywołał swego woźnicę, usunął go z kozła, ulokował Irenę w sankach, usiadł obok niej i, ujmując lejce, rzekł do chłopca:

— Sam powiozę. Zostań tutaj, odzyskaj panią i skażi... skażi... czto ja ujechał na wsiegdą...

Furman zabulgotał głupawym śmiechem.

Irena, rozsądna Irena, nie zgromiła nietaktu partnera, bo zapomniała już ponownie, że ma męża, syna, Cudnow, metr siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, sześćdziesiąt osiem kilogramów wagi, zasady obowiązki, no i czterdzieści lat... Czuliła się małym kocięciem, które może zamarnąć na śmierć, jeśli jego ramiona nie zamkną jej w gorącym objęciu. Miała wrażenie, że przez całe lata namarzała na niej gruba warstwa lodu, zakrywała ją w zbroję chłodu i śmierci, a teraz oto, pod technieniem upalnego powiewu, zaczyna tajać. Pierwszem uczuciem następującem po tem odrętwieniu,

jest okropny ból, ból rozmarzania...

Gdy wyjechali za bramę i zapadli w przyjazny, białawy mrok nocy, Borys spozrzał zbliżka w oczy Ireny. Odgadł raczej niż zobaczył, że są zalane łzami...

— Płaczesz kociątko? — zapytał niepewnie.

Wyciągnęła rękę i dotknęła nagimi palcami jego brązowej, nieostygłej jeszcze na mrozie twarzy:

— Jestem zmarznięta, skostniała do szpiku kości — wyszłochała.

Wtedy przydeptał nogą lejce, chwycił ją oburącz za ramiona, a zbliżając usta do jej mokrych policzków, wyrzekł wzruszonym głosem:

— I ja także...

* * *

Tak to, na rozstajnych drogach, w mroźną noc księżycową, urodziła się miłość Ireny, nieprawe dziecko, z którym miała zaznać wiele radości, niemało także kłopotu.

Nigdy zrozumieć nie mogła, jakim sposobem przeżyła szesnaście lat z mężem, nie doświadczając ani braku, ani tęsknot, ani pragnień, niczego słowem, coby pozwoliło jej uświadomić sobie ów niedosyt, który jednak istnieć musiał. W każdym razie teraz, w świetle miłości, ubiegłe życie przedstawiało się jej jak gehenna i drżała ze zgrozy na myśl, że je przeżyła. Rozmieniła się na drobną monetę, rozdała małemi cząstkami mężowi, gospodarstwu, służbie, inwentarzowi, dziecku... (Ach, nie, dziecko trzeba wyłączyć z tej litanji, to co innego...), ale pozatem...

Całą winę zwała na męża. Był starszy od niej o lat dwanaście. Przyżenił się do jej majątku. Nigdy jej nie kochał. Prawda, że jej nikt za włosy do ołtarza nie ciągnął, ale była taka młoda... Wszystko wynikało z... położenia geograficznego Cudnowa. Odziedziczyła po rodzicach zrujnowany przez wojnę, spory majątek, znajdujący się o sześć kilometrów od bolszewickiej granicy. W okolicy snuły się często bandy dywersyjne. Ot, poprostu bała się sama spać w domu, gdzie jednym, silniejszym pchnięciem wyważało się drzwi wejściowe, a okna wyjmowało się z futryn, jak książki z szafy. Karol, jej mąż, posiadał również folwark, ale już za kordonem po bolszewickiej stronie. Był więc wykolejony, lecz rozsądny, solidny, odwiedzał, służył radą. Mało mówił, ale rzeczowo. No i tak się zesзли. Możeby jednak i nie została, mimo wszystko, jego żoną, gdyby nie pewne zdarzenie, okrop-

ne... a wynikię znowu z geograficznego położenia Cudnowa.

Była wiosna, taka wiosna jak teraz. Sad pełen wiśniowego kwiecia, bzy i żabi rehot, pachnące, aksamitne powietrze, noc bezksiężycowa.

Irena, samotna w swym napół zrujnowanym domu, obeszła wszystkie kąty, pozasuwała rygle. Skonstatowała fakt, że służąca wyskoczyła z kuchni przez okno i ulotniła się, prawdopodobnie na całą noc, a stróż śpi pewnie, albo romansuje, a w każdym razie nie gwizdże i nie obchodzi gospodarczych budynków. Przez okno przywołała psy. Były na posterunku, one jedne: Rex i Djana. Smutna i znużona położyła się do łóżka.

— Nie, nie dam rady — myślała zasypiając — tu trzeba koniecznie mężczyzny.

W pewnej chwili usłyszała kroki w przyległym pokoju. Usiadła na pościeli. Stanowczo ktoś chodził po mieszkaniu, po tem mieszkaniu, w którym była przecież sama jedna, zamknięta na haczyki i zasuwę.

Oblana zimnym potem, zapaliła świecę, machinalnie wsunęła stopy w pantofle i wzięła w rękę rewolwer. Równocześnie ktoś, zwabiony widocznie światłem, sączącym się przez szary drzwi, zapukał do sypialni.

Zdumiona do ostatecznych granic, krzyknęła:

— Proszę...

Na progu stanął wysoki mężczyzna w mundurze rosyjskiego gwardyisty.

Irena w długiej nocnej koszuli wpatrzyła się weń nieprzytomnym wzrokiem. Ukłonił się i zameldował:

— Jestem rotmistrz Jaworski. Może pani kiedyś już słyszała to nazwisko?

O tak, znała imię głośnego w tych stronach partyzanta, Polaka kresowego, byłego oficera armji rosyjskiej, błędnej gwiazdy, która nie umiała podporządkować się nikomu i niczemu. Jedni uważali go za bandytę, inni za gromiciela bolszewików, a wszyscy za szaleńca i awanturnika.

— Jakim sposobem wszedł pan tutaj? — spytała Irena.

— Zwyczajnie. Wyjąłem okno.

— I psy dopuściły pana do domu?

— Mnie psy nie biorą.

— Jaki?

— Poproście. Nie biorą i basta. Jestem pechowiec, ale pod niektórymi względami szczęściarz.

Irena podniosła groźnie rewolwer:

— Proszę wyjść!

Oficer spojrzął z grymasem na niklowany przedmiot:

— Cóż to za pukawka? Pani mnie posiniaczy. Jestem już i tak

potłuczony jak „padaliczne“ jabłko. Proszę to odłożyć. Służę browningiem. Jest bardziej humanitarny.

Wyjął z kieszeni oksydowany, c i e m n y przedmiot, zarepetował i podał Irenie. Ale nie przyjęła, ręka jej uzbrojona w buldog opadła wzdłuż nocnej koszuli. Ogarnęło ją straszliwe uczucie rozpacz.

— Czego pan chce? — spytała cicho

Wtedy zmienił ton. Głosem stłumionym i jakby wypranym z dźwięczności i męskiego czaru, odpowiedział:

— Jestem ranny i bardzo głodny. Oddział mój rozproszył się chwilowo dla bezpieczeństwa. Przekradłem się aż tutaj, ale nie chciałem zachodzić do chłopów. Są niepewni.

Irena spoglądała na swego niepożądanego gościa w milczeniu. Był niezwykle piękny, pomimo zaniedbania. Lewe ramię, powierchu zniszczonego munduru okręcała skrwawiona szmata. Zanim zdołała przemówić, zapytał:

— Czyż pani sama jest w tym domu?

Chciała odrzec, że w kuchni, dla bezpieczeństwa, śpi dwóch parobków, ale usta odmówiły kłamstwa:

— Jestem sama...

Jaworski spojrzął na nią bystro. — Przestraszyło się dziecko? — powiedział nagle tonem pełnym tak uwodzielejskiej tklivości, że Irena stropiła się kompletnie.

— Jakże żałuję, że to zrobiłem... Odchodzę, proszę wybaczyć...

Był już w drugim pokoju, gdy zawołała:

— Niech pan wróci!...

Zatrzymał się.

— Pan jest ranny i głodny, a teraz noc...

Nie kazał się długo prosić. Został. Irena ubrała się, pozasłaniała szelnie okna. Na prymusie zagrzała wody, przyrządziła herbatę, wyjęła z bufetu wiejskie zapasy.

Posilając się i rozmawiając, umyty, z opatrzoną raną ramienia, przesiedział parę godzin. Było już dobrze po północy, gdy mu zaproponowała, aby poszedł spać i wypocząć.

Oficer umilkł. Zgasło ożywienie, z jakim opowiadał Irenie o swem burzliwym życiu. Nagle pochylając się ku młodej gospodyni powiedział:

— Chciałbym zadać pani kilka pytań...

— Proszę...

— Bardzo niedyskretnych...

— Proszę...

W dużym czy w małym praniu

zwykła czy wytworna bielizna
wszystko wygląda jak nowe
przez

RADION

UNIwersalny środek do prania

Ogromnie
praktyczny —
obecnie także w
podręcznych ma-
łych paczkach

— Czy pani jest zaręczona?...

— Nie...

— Czy pani jest zakochana?...

— Nie...

— Czy pani kochała już kiedyś?

— Nie...

Jaworski opuścił na chwilę powieki na swoje przesłizne, szafirowe oczy.

— A ja kochałem już w życiu wiele kobiet... ale myślę, że Panią, że Ciebie, mógłbym być kochać do szaleństwa, gdybym nie był tem, czem jestem...

Irena słuchała oszołomiona. Ten człowiek miał w sobie coś, co ją detonowało, wyzuwało z pewności siebie. Samą modulacją głosu łamał wszelkie jej sprzeciwy, zanim jeszcze zdążyły się uzewnętrznić.

Jaworski mówił:

— Czuję, że w najbliższej przyszłości czeka mnie coś bardzo złego. Bardzo złego, to właściwie nie złego, bo tylko śmierć. Ty będziesz żyła. Wyjdiesz zamaż. Dasz wiele dni szczęścia jakiemuś człowiekowi. Będziesz rodziła dzieci. Zaprządasz się w swoich dzieciach, jak wogóle kobiety. Zapomnisz o mnie. Niczem nie będę dla ciebie. Jestem tylko intruzem, który wszedł bezprawnie w nocy do Twego domu... Dlatego, to nie jest logiczne, ale dlatego właśnie, pozwól, abym raz jeden pocałował Ciebie...

Nie czekając na odpowiedź powstał z krzesła, ukląkł przed nią i objął ją swem zdrowym ramieniem. Irena nie uświadamiała sobie jasno sytuacji, ale w pewnym momencie spostrzegła ze zdumieniem, że jej własne ręce splecione są mocno na jego szyi i to ją przeraziło. Poruszyła głową, chcąc się oderwać od tamtych ust, ale i on także opuścił już ramię. Wstał i powiedział niespodziewanie po rosyjsku:

— Dusza mieru znajet... Dość! Dobranoc pani...

Irena siedziała w swem krześle oszołomiona.

U samego progu, oficer odwrócił się jeszcze i naginając głos do najtkliwszych intonacyj rzekł z uśmiechem:

— Dobranoc, dziecko... Drzwi na wszelki wypadek zamknij na klucz!

(d. c. n.)

S. Borowska.

Z zabytków sztuki ludowej na Podhalu

Sztuka ludowa na Podhalu, jak każda zresztą dawna sztuka ludowa, zanika coraz bardziej w obecnej dobie, odpada od życia, znajduje coraz częściej swe miejsce już tylko w różnych zbiorach prywatnych i muzealnych. Przeniesiona jednak do muzeów, zerwawszy kontakt bezpośredni z własnym swem otoczeniem, traci wiele ze swych istotnych wartości. To też działalność rozmiłowanych w niej jednostek usiłuje zachować ją również i w terenie, jako wyraz duszy ludu. Jeśli nie zawsze usiłowania te zdołają osiągnąć należyty rezultat w centrum ruchu turystycznego, gdzie miasto wchłania się ze swoją nowoczesną kulturą, to przynajmniej w oddalonych od niego wsiach święci pewien triumf.

Minał już, niestety, złoty okres podhalańskiej sztuki, kiedy to Chałubiński, Witkiewicz, Matlakowski, odkrywając nieznane wsie Podhala, badali i okazywali zdumionym oczom bogaty świat zdobnictwa. Dziś ludzie oswoili się już napół z tem, co odkrywali tamci. Tymczasem podhalańska sztuka ludowa nadal zasługuje na poważniejsze traktowanie. Są jeszcze, trwające resztką dawnej świetności, stare kościołki, kapliczki i domy, o których warto choć parę słów powiedzieć.

Najcenniejszym z kościołków jest chyba zabytkowy kościół pod Nowym Targiem, w Dębnie, z bezcenną późnogotycką polichromją, a nie należy pominąć również kościołków w Sromowcach Niżnych, w Grywałdzie z doskonałymi tryptykami, jak również starego kościołka z XVI wieku w Trybszu, o figuralnej polichromji, lub kościołka w Łopusznej, który budził ongiś zachwyt Seweryna Goszczyńskiego, gdy bawił tu w 1832 r. w gościnie u Tetmajerów.

Jedną z cech charakterystycznych kościołków oraz kapliczek i dzwonnicy Podhala jest pełna wdzięku prostota linii architektonicznych i środków zdobniczych. Najtypowszym przykładem tej prostoty jest kościółek w Zakopanem, którego skromne drewniane ściany pomyslane są w taki sposób, jakby twórca obawiał się, aby nie wydały się zbyt wykwintnemi. Przy tej prostocie prawdziwą niespodzianką stanowi nakrycie wieży kościołka kopulastym hełmem, zato znów kanciasty sposób traktowania kształtów sfer-

rycznych, jak gdyby spowodowana drewnianą strukturą, sprawia właśnie wrażenie prymitywu. Całość, mimo wysokoku w postaci wspomnianej kopułki, jest zwarta i harmonijna, pełna umiaru artystycznego, który m. in. objawia się w dążeniu do zdobienia jeno najważniejszych części budowli, co stanowiło zawsze charakterystyczną cechą sztuki polskiej.

Takich kościołków jest na Podhalu więcej, wystarczy wspomnieć: kościółki (w pobliżu Zakopanego), w Nowym Bystrem (za Gubałówką), na Obidowej i w Rabce. Do podhalańskich kościołków zbliżone są konstrukcją również kościołki Orawy i Spisza. Najpiękniejszą zdobą polskiej części Orawy jest kościółek w Orawce, pochodzący z połowy XVII wieku. Wystrzela w niebo swoją bogatą wieżycą, z typowym nadwieszonym pięterkiem, ozdobionem po rogach wysokiego hełmu czterema wieżyczkami. I dach i ściany kościołka kryte są gontem, wewnątrz zdobione starą polichromją.

Na Niższej Orawie, już po czeskiej stronie, słynny jest cmentarny kościółek w Twardoszynie. Kościołki tej części Orawy odznaczają się cechami słowackiego budownictwa.

Oprócz wymienionych, oraz innych, nienazwanych kościołków, mamy na Podhalu ciekawe kapliczki i dzwonnice, pochodzące nieraz jeszcze z bajecznych „Janosikowych” czasów, a każda z tych kapliczek posiada często wielkiej wartości



Kapliczka na studni w Ratulowie.



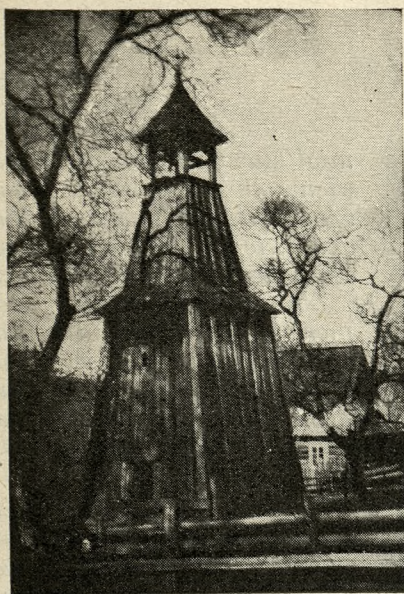
Dzwonnica w Górnym Dzianiszu pod Zakopanem.



Kapliczka przydrożna.



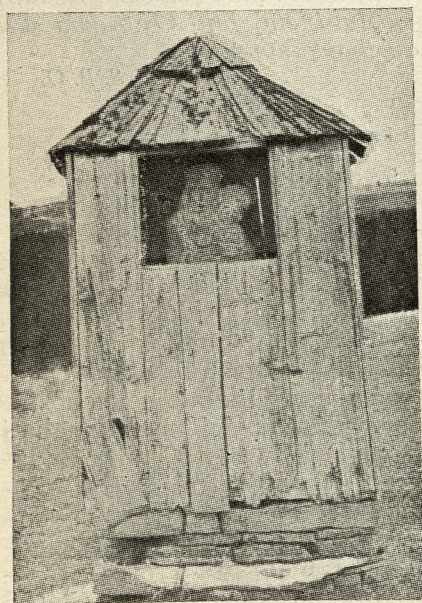
Kapliczka w leśnych Hamrach.



Dzwonica w Suchej Górze na Oraniewie Czechosłowackiej.



Kościółek w Rabce.



Kapliczka na Zoniówce koło Zakopanego.



Kapliczka w Dzianiszu pod Zakopanem.

figurki „świętków“, niestety coraz bardziej już w zaniechaniu niszczone. Nierzadko i chałupy góralskie są ozdobione filarkowemi kapliczkami z figurkami wiele oryginalnych świętków. Proste są te figurki, jak skromnym jest materiał, używany do ich rzeźbienia, narzędzia i uzdolnienie twórców-snycerzy. Figurki te, zniszczone przez czas i działanie atmosferyczne, noszą za ledwie ślady dawnej polichromji.

Kaplice przydrożne bywają niekiedy i murowane, ledwie obrzucone tynkiem, pomalowanym na kolor niebieski. Fundatorami kapliczek są przeważnie zamożniejsi gazdowie wsiowi. Wykonawcami zaś rodziński „budarze“, wkładający w swe dzieło prawdziwy artyzm, będący wyrazem ich kultury i duchowych potrzeb. Najczarowniejsze z tych kapliczek kryją się po odleglejszych wsiach Podhala, jak np. w Dzianiszu, Ratułowiu, Nowem Bystrem, Witowie, Czarnym Dunajcu. Mniej znanymi od przydrożnych są oczywiście te, które wystawił gazda w pewnym odosobnieniu, pośród pola, lub łąki. Są one często bardzo godne widzenia, jak np. kapliczka Matki Boskiej na Zoniówce, opodal Jaszczurówki, i kapliczka u Klusiów, w obrębie, bliskiej Zakopanego, Olczy.

Mówiąc o kapliczkach, nie należy zapominać o równie prostych w kształcie, a jakże wymownych w tej prostocie dzwonnicach, przeważnie drewnianych. Dzwonnice podhalańskie posiadają zupełnie swoisty charakter, różniąc się od porzucanych po innych zakątkach kraju. Są one po większej części umieszczane zdala od kościoła. Stoją zazwyczaj, albo w połowie wsi, pośród siedzib ludzkich, albo nierzadko poprostu w polu, na tle



Kościółek w Sieniamie.

grupy drzew bukowych, lub w otoczeniu zgrzybiałych smreków, wzywając potrzykroć w czasie dnia swym rzewnym dzwonieniem na „Anioł Pański“. Równie jak kapliczki posiadają i one swój niewysłowiony walor artystyczny. I tu, jak przy kapliczkach, górale byli fundatorami i twórcami, okazując się w każdym wypadku mistrzowskimi snycerzami, o wyrobionym swoistym smaku. Najczęściej spotykane są dzwonnice pochyle, t. j. zwężające się ku górze, kryte drobnym gontem, lub prostemi deskami, zaopatrzone w górnej części różnorodnego kształtu i wielkości okienkami. Ta najwyższa część dzwonnicy bywa zazwyczaj oddzielona od całości lekkim gzymsikiem, jak np. w Dzianiszu, Cichem, Podczerwonem, lub Harkabuzie i Lipnicy. Innego typu dzwonnice posiadają ścianki boczne całkowicie prostopadłe, pozbawione rodzaju górnego pięterka, przy zachowaniu jedynie, w najwyższej swej partji okienek. Taki typ widzimy np. na Spiszu, po stronie czechosłowackiej we Frankowej.

Krótki przegląd powyższy nie wyczerpuje, rzecz prosta, przedmiotu, mając jedynie na celu zwrócenie uwagi na wielkie wartości artystyczne, jakie w sobie kryje ludowe budownictwo podhalańskie.

Michał Szymański.

CZYTELNICZKI NASZE

*prosimy, by żądały pism
kobięcych we wszystkich
kawiarniach, cukier-
niach, restauracjach,
czytelniach i t. d.*

Szkoła entuzjazmu

Przez kilka dni cała Polska pulsowała jak w gorączce. Nieliczna garstka szczęśliwców, kilka, kilkanaście, no powiedzmy, kilkadziesiąt tysięcy przez długie godziny wstrzymywało oddech na lotnisku mokotowskim, aby zagnała wybuchnąć olbrzymiem, pod niebo bijącym westchnieniem i loskotem oklasków na widok nadlatującego aeroplanu.

Reszta, to znaczy, miliony, wisiła przy słuchawkach radjowych i telefonicznych, rozchwytywała gazety, uczyła się na pamięć numerów samolotów i punktacji, zasypiała i budziła się ze słowem „challenge”.

W ciągu dwóch najbardziej emocjonujących dni — w piątek i w niedzielę widziało się zdążające na lotnisko wśród normalnej publiczności jakieś postacie z nieprawdopodobnego zdarzenia. Staruszków, w pozieloniatych surdutach, staruszki w odwiecznych mantylach, wydobytach z pod naftaliny, wąsatych jegomościów, damy z kokami, ludzi, których wogóle nie spotyka się na widowiskach, bo na nie nie mają. Ale teraz wysupłali ostatnie oszczędności, żeby zobaczyć zbliska, jak nasi zwyciężają.

Co ich do tego skłoniło? Czy zwykła ciekawość, żądza sensacji, gorączka igrzysk?

Nie, to był poprostu entuzjazm. Stare, zużyte słowo, które się cudownie odmładza w pewnych momentach zbiorowego napięcia. Entuzjazm tegorocznego challenge'u nie był przywilejem pewnych jednostek, czy sfer. Ogarnął masy, stał się żywiołem. I na tem polega ogromne wychowawcze znaczenie challenge'u. Bo, gdybyśmy namet nie zwyciężyli, to i tak przeżylibyśmy te cudowne dni, kiedy każdy z nas, bez względu na powszednie udręki, przygniatające go do ziemi,



Kapitan Baján, zwycięzca w Challenge'u 1934 roku.
(Fot. Ryś).

miał skrzydła i czuł się ptakiem, współtwórcą i towarzyszem lotu Bajana, Płonczyńskiego, Giedgoroda, Dudzińskiego, Włodarkiewicza.

Zbiorowa wola mas podpięra i podnieca indywidualny wysiłek. Lżej jest walczyć, kiedy się wie, że ma się miliony za sobą. Wspaniała, nieporównana szkoła entuzjazmu!

Był w niedzielę na lotnisku jeden moment szczytowego patosu, kiedy nadlatywał Baján, a w dole między trybunami nurkowały małe skauty, rozdając publiczności biało-żółte chorągiewki pomitalne. Zrobiło się to wszystko tak błyskawicznie, że kiedy Baján przelatował nad metą, wszystkie trybuny i łozę, przedtem podobne do plastrów wosku, obsiadłych rojem huczących pszczół, teraz ryczały, jak biało-żółte morze.

Za metą Baján raptownie wykręcił ku górze, jakby się odbił od ziemi, poderwany milionem tchnień i okrzyków i uleciał pod niebo, jak biało-czerwony sygnał zwycięstwa.

Ten pionowy lot to był najwyższy, choć bezgłośniejszy okrzyk triumfu.

W tej chwili nie było chyba człowieka w Polsce, począwszy od paroletnich pędraków, wydlubujących małe samolociki z drewnianych pudełek, kończąc na trzęsących się staruszkach, które ostatnie grosze oddają na składki LOPP'u, nie było, pomtarzam, w Polsce człowieka, któryby nie pragnał ucałować Bajana.

I dlatego uścisk Pana Prezydenta Rzeczypospolitej był wyrazem i dokumentem wdzięczności i zachwytu całej Polski, był pocałunkiem, jaki Ojczyzna składała na czoło swego dzielnego syna.

S. P. O.

Po zwycięstwie

Huragan oklasków, burza entuzjazmu, niekończące się okrzyki na cześć zwycięskiego lotnika, którym towarzyszyło warczenie motorów samolotów, co chwilę przelatujących w morderczym tempie przez metę — oto zespół wrażeń akustycznych, jakie odnosili widzowie, zgromadzeni w dniu 16-ym września w ilości kilkadziesiąt tysięcy na lotnisku mokotowskim.

Baján zwyciężył!

Wprawdzie już po zakończeniu lotu okrężnego można było przewidywać taki wynik, bowiem tylko w dwóch wypadkach zdobyte już w dziewięćdziesięciu procentach zwycięstwo mogło ominąć polskiego lotnika: wybitny pech, czyli wyrażając się bardziej fachowo — niespodziewany defekt motoru, śmigła lub

inny wypadek, zmuszający lotnika do lądowania na trasie wyścigowej; albo nieprawdopodobnie wielka, fantastyczna prędkość maszyny najgroźniejszego współzawodnika niemieckiego, Seidemann'a. O tej drugiej możliwości wiele mówiono. Ogólnie sądzono, że samoloty niemieckie przy prędkości maksymalnej przekroczyły wartość 300 kilometrów na godzinę. Zwłaszcza „Fieselery“ cieszyły się opinią pożeraczy kilometrów. Wyścig niedzielny tylko częściowo potwierdził te przypuszczenia. Średnio, szybkości maksymalne, uzyskane przez Niemców, mało przekroczyły największe szybkości samolotów polskich. Rekord zdobył w tej próbie Osterkampff, przywódca zespołu niemieckiego, który brawurowym lotem prześcignął zawodni-

ków i w ostatniej klasyfikacji zajął zaszczytne, piąte miejsce za Czechem Ambruzem. Leciał on z szybkością 291 kilometrów na godzinę.

Godne najwyższego uznania wysiłki niemieckich współzawodników nie zdołały już jednak przechylić na ich stronę szali zwycięstwa. Nawet nasz „secundus” Płonczyński obronił swe miejsce i nie padł „ofiara” goniącego za nim Seidemanna.

Polacy zwyciężyli!

Zwyciężyliśmy podwójnie: wysiłkiem woli i wybitnymi umiejętnościami lotniczymi naszych pilotów, oraz przede wszystkim wysokim stanem naszej techniki lotniczej.

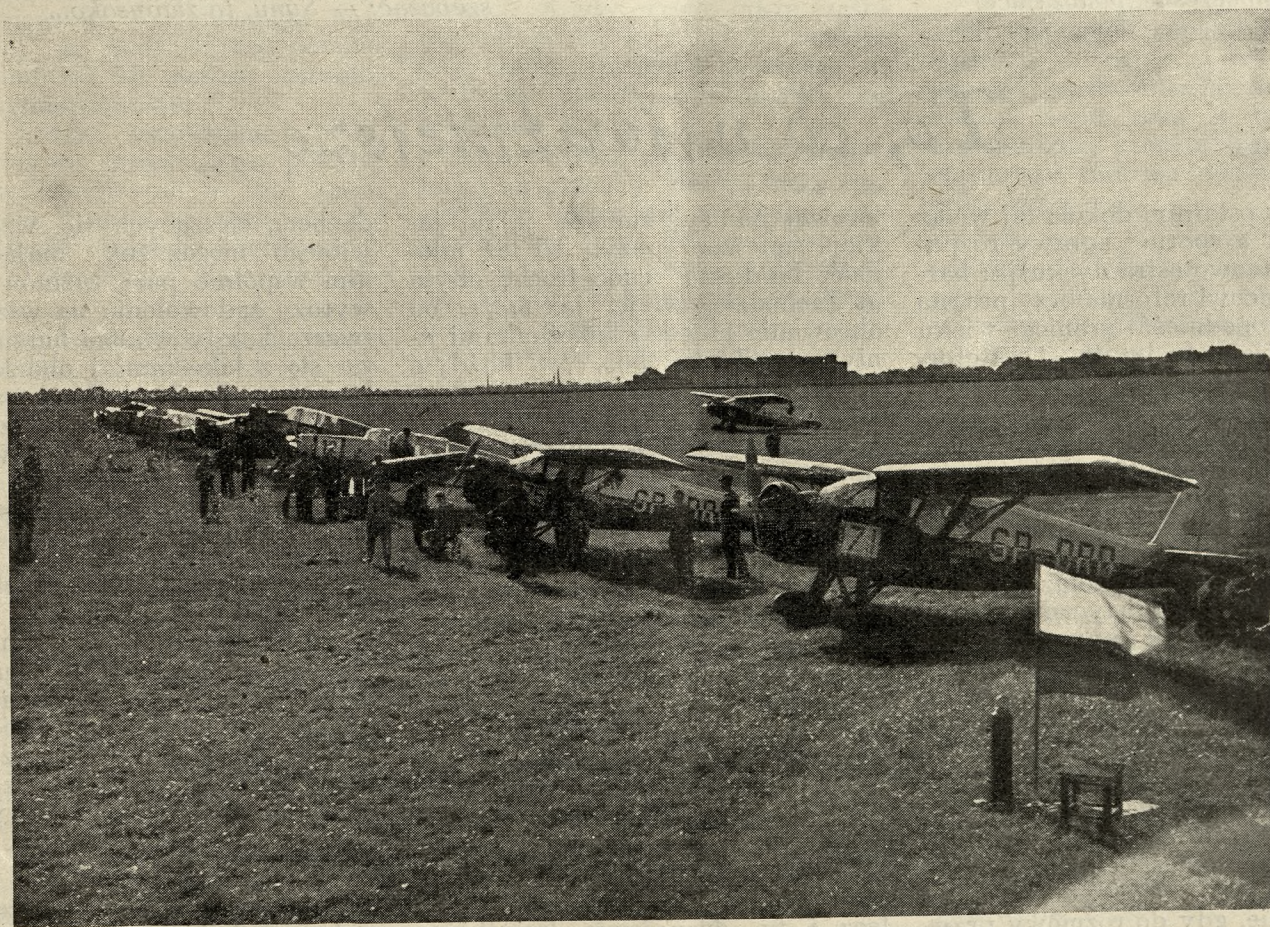
Zawody tegoroczne były wyjątkowo ciężkie i dlatego może nas dziwić wysoki procent samolotów, które przed zakończeniem Challenge'u musiały zostać wycofane. Również i nasz zespół został mocno poszczerbiony.

Sledząc komunikaty oficjalne Komisji Challenge'owej, wydane w czasie prób technicznych oraz w czasie lotu okrężnego, stwierdzić należy, że wszyscy nasi zawodnicy stali na wysokości swego zadania. Polscy lotnicy wykazali się mądrym umiarem, świetnym wyczuciem się w duszę samolotu. Wytrwale dążyli do zwycięstwa, jednak bez zbytecznego ryzyka. Dotyczy to w pierwszym rzędzie kapitana Bajana i Płonczyńskiego, oraz ich dzielnych towarzyszy lotu. Ich długotrwały wyczyn lotniczy cechuje chłodne, zdawałoby się beznamiętne, nawskroś opanowane, obliczenie sił. Była to świetna kalkulacja wytrzymałości, genialne odczucie potrzeb i możliwości motoru. Takie zjednoczenie się duszy lotnika z duszą samolotu spotyka się tylko u największych, najwybitniejszych lotników, u tych, którzy za silni są na to, aby pozwolić sobie, na być może efektywną, lecz nie zawsze wskazaną brawurę.

Challenge tegoroczny stał się świetnym stwierdzeniem wspaniałego rozwoju naszej techniki lotniczej.

Przyjrzyjmy się jednak bliżej naszym maszynom, które trzy tygodnie temu stanęły do zawodów. Należy odróżnić trzy grupy samolotów. Pierwszą grupę stanowiło pięć samolotów typu PZL—26, zaopatrzonych w amerykańskie silniki Menasco - Bucaneer. Pilotami na tych samolotach byli Dudziński, Gedgowd, Grzeszczyk, Wieczorek i Włodarkiewicz. Druga grupa obejmowała dwa samoloty typu RWD—9 z silnikami czeskiemi Walter - Bora; pilotami byli Karpiński i Florjanowicz. Wreszcie w trzeciej grupie Bajana, Płonczyńskiego, Buczyńskiego i Skrzypińskiego pilotowali cztery awionetki typu RWD z polskimi silnikami Skoda. Tylko trzecia grupa samolotów może więc być uważana za polską w stu procentach, gdyż jej samoloty są nie tylko polskiej konstrukcji, lecz ponadto zaopatrzone były w silnik, zbudowany w naszych zakładach, według projektów inżyniera Nowkuńskiego.

Znamienny jest fakt, że właśnie trzecia grupa samolotów wywiązała się najlepiej z trudnych zadań turnieju lotniczego. Wszystkie cztery samoloty tej grupy chlubnie przeszły próby techniczne, lotu okrężnego, a następnie końcowego wyścigu. Natomiast poważne defekty w silnikach zmusiły Karpińskiego i Florjanowicza do wycofania się z zawodów w czasie lotu okrężnego. Honor silników czeskich ratuje tylko fakt, że samoloty czeskie zaopatrzone były w te same silniki i zakończyły zawody w świetnej formie. Trudno jednak znaleźć usprawiedliwienie dla silników amerykańskich Menasco - Bucaneer, które jaknajfatalniej zapisały się w dziejach tegorocznego turnieju. W czasie lotu okrężnego zepsuły się silniki Grzeszczyka, Włodarkiewicza i Wieczorka. Jako czwarty skolei „Menasco” zastrajkował w czasie wyścigu silnik Gedgowda. Z całej piątki polsko - amerykańskich samolotów tylko



Start wszystkich samolotów do ostatniego lotu Challenge'owego.

(Fot. Ryś).

jeden jedyny samolot Dudzińskiego dotarł do końcowej mety Challenge'u.

Okazało się, że wszelkie kombinacje polskich konstrukcyj z zagranicznymi arcydziełami techniki zawiodły pokładane w nich nadzieje. Polski silnik w połączeniu z polskim typem aeroplanu zdał egzamin challenge'owy celująco.

Świetny stan naszej techniki lotniczej zadokumentowany został również w czasie prób technicznych, nad którymi nie będziemy się tu bliżej rozwodzili.

Warto jednak zestawzić osiągnięte obecnie przez Bajana wyniki w szybkości minimalnej i maksymalnej z rezultatami, uzyskanymi dwa lata temu przez Żwirkę.

Bajan ustalił rekord szybkości minimalnej, lecąc z prędkością tylko 54 kilometrów na godzinę. Wynik ten jest lepszy o trzy kilometry od wyczynu Żwirki.

W roku 1932-im Żwirko leciał z prędkością maksymalną 214 kilometrów. Goniący za nim Morzik rozwinął szybkość 241 kilometrów na godzinę. Obecnie Bajan — nie wykorzystując właściwie maksymalnych możliwości swego aparatu — uzyskał szybkość 251 kilometrów na godzinę.

Przytoczone wyniki ilustrują zdumiewające postępy naszej techniki lotniczej w krótkim czasie dwóch lat. Zdobyte po raz drugi laury zwycięstwa niewątpliwie staną się dla naszych lotników i konstruktorów bodźcem do dalszej owocnej pracy. Społeczeństwo polskie, które swą ofiarnością wydatnie przyczyniło się do walnego sukcesu barw polskich w tegorocznym Challenge'u niewątpliwie nadal popierać będzie wysiłki naszych dzielnych Dedalów i stworzy podstawy nowego, trzeciego zwycięstwa w roku — 1936!!

Dr Feliks Burdecki.

BEATA GAMARNICKA.

Staroświeckie i nowoczesne

*Pani syn ma nowoczesny pokój,
na olejno malowane ściany,
higieniczne umeblowanie,
rozkład godzin ściśle zachowany.*

*Jednak nocą, stąpając ostrożnie,
nadsluchując kaszlu, czy majaczeń,
oczy pani spoglądają trmoźnie
w staroświeckiej, odwiecznej rozpacz!*

*Na zabawkach jego niema kurzu,
wszystkie takie nienagannie lśniące,
w książkach — wiersze dobrze rymowane,
nowoczesne, pouczające!*

*Ale czasem staroświecka bajka,
krasnoludek, kopciuszek, królowa,
lub historja „jak kot palił fajkę“
maleńkiego słuchacza rozrzewnia.*

*Wczoraj nagle syn zadał pytanie
o budowie aeroplanu.
Wkoło ciotki starczemi głowami
pokiywały w ogromnem uznaniu.*

*Tylko pani, pytaniem spłoszona
(staroświecki, gwałtowny niepokój!)
drewnianego podsursa mu konia
szepcząc: — Synu, to zawysoko...*

To, co najważniejsze

2)

W roku ostatnim dokoła tej wciąż żywej, a spornej sprawy rozpalila się nanowo ostra dyskusja: bardzo krańcowi reformatorzy pragną już dziś podnieść granicę wieku zamążpójścia do lat 16—17. Reformie tej sprzeciwi się chyba samo życie: wczesne dojrzewanie i rozwój fizyczny Hinduski, prędkie przekwitanie urody, a zresztą niebezpieczeństwo, grożące jej we własnym domu, ze strony męskiej połowy rodziny. Intensywne życie płciowe, uświęcone nakazami religijnymi (kult fallistyczny), staje się niejednokrotnie przyczyną dewiacji dziecka. „Dziewczyna zbyt długo popasająca pod dachem ojca, jest jak owoc nadgniły, na który nikt się nie zlakomi...”

W sposobie bycia każdej młodocianej Hinduski ze sfery najbardziej nawet inteligentnej, przebija atawistyczne onieśmienie, coś jakby serwilizm, a zarazem wyraźne podniecenie, gdy do rozmowy przyłącza się rówieśnik.

Towarzystwo młodych ludzi paraliżuje swobodę bycia każdej ko-

lorowej panny, zmusza ją do jakiejś śmiesznej pozy. To też młodzież hinduska, choć trochę obyta na Zachodzie, wieje, jak może, od obcowania nawet z koleżankami uniwersyteckimi, bo... „w każdym z nas widzi natychmiast przyszłego męża, bo każdy niebaczny komplement czy żart może być uważany za... staranie się i to jest ambarasujące!” — przyznaje się młody student.

Najciekawszą, zapewne, dziedziną obserwacji dla wrażliwości Europejki jest psychiczny nastrój rodziny hinduskiej o dwóch — trzech paniach domu, przede wszystkim chyba samopoczucie tej pierwszej żony, gdy mąż wprowadza pod wspólny dach coraz to młodsze oblubienice.

Sprawy te są głęboko ukryte przed oczami cudzoziemca. Można się tylko domyślać powikłań podobnie skomplikowanych stosunków, lecz i tu doznajemy leciutkiego rozczarowania. Zgodny i pogodny wyraz twarzy, mina dla świata rywalek, mieszkających pod jednym

dachem, cieszących się względami jednego mężczyzny, mających z nim wspólnie parę tuzinów dzieci, wyrazy zadowolenia na wszystkich twarzach, gdy władca haremu zbliża się z łakociami i obdziela (na bazarze czy jarmarku) wszystkie swe połowice, nie krzywdząc żadnej, paraliżuje na moment wszelkie skrupuły w tym wypadku. Na moment, po chwili paradoksalność podobnej sytuacji zaniepokojuje znowu.

Coprawda zagadnienie poligamji, tak bardzo dyskutowane w r. 1911, w praktyce coraz mniej ma zwolenników. Oczywiście reguła zezwala Hindusowi na posiadanie kilku naraz żon, (Mahometanie mają prawo do czterech), obyczaj ten praktykowany jest dotychczas chyba tylko wśród mas ludowych, ze względu na przysporzenie gospodarce rolnej sił roboczych.

Sfery mieszczańskie nie żenią się z dwoma kobietami, poprostu ze względu oszczędnościowych, chyba że pierwsza małżonka nie daje potomka płci męskiej. Na luksus ten

pozwalają sobie w dalszym ciągu zamożni i wysoko urodzeni.

Natomiast nierzadko można spotkać zupełnie zlegalizowaną instytucję małżeńską, poliandrię, praktykowaną wśród plemion osiadłych w Himalajach (obyczaj tybetański), a nawet na południu Indyj, w górach Cejlonu, w Colombo. Prawo to oficjalnie istniało do r. 1857.

Zastarały ten obyczaj, opiewany tak kwieście w miłosnej epopei „Mahabharata“, w której piękna, a wielce niebezpieczna Draupadi poślubiona była odrazu pięciu braciom wojownikom, bohaterom „Mahabharaty“, Pandavas, miał przetrwać wieki.

Indje zaliczyć można do nielicznych krajów na kuli ziemskiej, gdzie płęć niewieścia nie przeważa liczebnie nad męską. Raczej przeciwnie, na kżde 1000 męczyzn przypada zaledwie w średnim 945 kobiet, na 1000 żonatyh statystyka rejestruje 1050 zamężnych kobiet. Nie należy tej nadwyżki przepisywać jedynie wielożęństwu.

Na liście kobiet zamężnych figurują przede wszystkim wdowy, których ilość jest przeważająca, oraz ogromny odsetek kobiet, żyjących z nierządu, obsługujących kapłanów i t. d.

Spisy ostatniego pięciolecia wyróżniają się od wszystkich poprzednich poważną liczbą „kobiet w stanie panińskim“, co świadczy najdobitniej, że podrastające pokolenia Hindusek nie zostało poślubione w niemowlęctwie.

Czy będzie zadowolone z podobnego obrotu sprawy, czas pokaże!

O męża napewno w tym kraju nie będzie trudno, zastraszająca zaś śmiertelność wśród młodocianych matek i niemowląt stanowczo obniży się.

Ta chroniczna już plaga kobiet hinduskich, spowodowana jest nie tylko niedostatecznie okrzepłym organizmem matki — dziewczynki, lecz też i niewiarogodnie antyhigienicznymi warunkami, w których kobieta z ludu odbywa swą słabość i wydaje na świat potomstwo.

Stan błogosławiony oczyszcza ją w oczach męża i domowników dopiero wówczas, gdy rodzi chłopca. W okresie słabości uważana jest za stworzenie nieczyste, pogardzane, od którego należy być jak najdalej, które przebywać może jedynie w towarzystwie znachorek domorosłych, uprawiających praktyki ciemnej magji.

Kobiety te, *dais*, pochodzące z klas najniższych (untouchable), które dotykać się mogą nieczystości i... padliny, pędzą żywot odosobniony zdala od szczęśliwszych, w hierarchji społecznej wyżej urodzonych współziomków swych.



Kobiety z północnych Indyj

Dai stosuje według swego widzimisię wszystko, co jej tylko przyjdzie do głowy, gdy przebieg porodu jest lub nie jest normalny. Cieszy się absolutnem zaufaniem pacjentki. A gdy często, jakże często, nie udaje się zapobiec katastrofie, gdy matka i dziecko przenoszą się w lepsze światy, specjalistka nie jest temu winna.

Są to wyższe zrządzenia Opatrzności za grzechy delikwentki, popełnione przez nią w życiu... poprzedniem. Sama *dai* jest poza kręgiem niecej, ludzkiej podejrzliwości. Mydło, woda są dla niej przedmiotami ostatniej potrzeby, właściwie zupełnie niepotrzebne.

Każda szanująca się babina obrabiłaby się śmiertelnie, gdyby zaproponowano jej zmienić na czystsze, cuchnące szmaty, z którymi nie rozstaje się w nocy i we dnie, lub wyszorować przynajmniej paznokcie, gdy się zabiera do operacji.

Najciemniejszy kąć izby, nie przewietrzany, ani też oczyszczony poprzednio, bodaj od mrowia insektów, najbrudniejsze koce familijne, zaduch, brud, ciasnota, oto mniej więcej najbliższe otoczenie każdego, szarego obywatela hinduskiego, zjawiającego się na świat.

O ile wogóle matka i dziecko nie wyzioną odrazu ducha, poddają się przez pierwsze dziesięć dni specjalnej „sympatycznej“ kuracji, polegającej na parzeniu pacjentów. Ponakrywani kocami, okładani rozpalonemi cęglami, ogrzewani żarówkami z węglem, które dzień i no-

cą palą się ustawione pod charpoy (coś w rodzaju łóżka) i t. d.

Praktyki te mają skutecznie zapobiec wszelkim nieprzewidzianym komplikacjom. Najmniejszy dopływ powietrza i higieniczne dzianie wody, uważane jest za niebezpieczne i powoduje *tylko* porodową gorączkę. Zupełna głódówka (kilka bananów dziennie!) i sucha łaźnia do dziesięciu potów, mają wypłoszyć z łona matki wszelkie choróbska, miedziana zaś moneta, trzymana w ustach przez dziesięć dni, zapobiega febrze. Gdy wszystkie te wyczyny i szeptane zaklęcia zaczynają zawodzić, wzywany jest wreszcie lekarz. Najczęściej zapóźno: ratunek jest już niemożliwy.

Dziecko dostaje najwyżej dwie — trzy kapielę po urodzeniu się i owijane jest poprostu w kołdry. Żadnego ubrania nie wkłada się niemowlęciu do 40 dni. Pierwsze sześć dni życia obywatela hinduskiego należą do najważniejszego etapu całego jego żywota, w okresie tym bowiem Nemezis rozstrzyga o dalszym losie człowieka. Wszystkie więc praktyki są czynione przez *dai* dla odpędzenia złych uroków; młoda matka zaś musi czuwać, nie spać we dnie i w nocy, aby nie dopuścić zbliżenia się do kołyski czarciego wysłannika, który „popsuje“ dziecko.

Po wszystkich tych dobroczynnych zabiegach specjalistka otrzymuje 10—15 rupij za fatygę, poatem, gdy sprowadza na świat syna, dostaje ciepłą ręką od ojca i jego krewniaków, którym biegnie zakomuniować radosną nowinę, jeszcze kilka rupij.

O ile rodzi się dziewczyna, wynagrodzenie jest niższe, obrzędy przy położnicy i dziecieniu mniej staranne. Od krewniaków i ojca *dai* nic nie otrzymuje...

Podziwiać należy, zaiste, że w warunkach tych tyle istot ludzkich wychodzi obronną ręką. Śmiertelność niemowląt jest jednak zatrważająca. Około 40% umiera w pierwszym tygodniu życia, przeszło 60% w pierwszym miesiącu. Po przebyciu szczęśliwie tego krytycznego okresu, następuje nowe źniwo śmierci, gdy dziecko zaczyna ząbkować.

Śmiertelność dzieci waha się w zależności od dzielnic, kast i liczebności mieszkańców. Po miastach jest wyższa. Np. w Bombaju 1000 urodzonych 556 nie wyżywa, w Kalkucie śmierć unosi 380 niemowląt, w Madrasie — 285, najmniejszy względnie odsetek przypada na zdrowotne Delhi — 233.

Hanna Skarbek-Peretjatkowicz.

(d. c. n.)

Kobiety na stanowiskach kierowniczych

U nowego dyrektora Opery Warszawskiej

Spotkałam się z p. Janiną Korolewicz - Waydową na scenie warszawskiej opery, otoczoną tłumem interesantów, śpiewaków, tancerzy. Każdy miał do niej ważny interes. Każdy chciał zamienić z nią bodaj kilka słów. W oczach każdego maluje się wiara w nowego dyrektora.

— Nie zawiodą się — powiedziała z mocą świetna śpiewaczka — Warszawa musi mieć swoją operę, operę wielką, potężną, z uwzględnieniem najnowszych metod pracy! Zabrałam się do organizowania opery z całą energią i wielkim zapałem. Mam już doświadczenie pod tym względem.

W latach 1917 i 1918 p. Korolewicz - Waydowa stała na czele Opery Warszawskiej i dzięki swoim zdolnościom organizacyjnym, oraz niespożytej energii, prowadziła ją bez deficytu, a nawet zwróciła Magistratowi otrzymaną subwencję w kwocie 299.000 marek.

— To był niebywały fakt w dziejach opery — opowiada, gdyśmy wreszcie usiadły same w gabinecie przy scenie.

— Co panią skłoniło wówczas do zajęcia się operą? — pytam.

P. Waydowa spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— Nie mogłam obojętnie patrzeć, jak wielka świątynia sztuki chyli się ku upadkowi. Nie byłam w stanie pozostać biernym widzem, gdy operę spowijał całun ludzkiej pogardy i zapomnienia. Śmierć Opery Warszawskiej byłaby ponad moje siły! Pracowaliśmy wtedy wszyscy bez wytchnienia. Żadne ofiary, żadne kompromisy nie były dla mnie zbyt wielkie. Poza pracą nie dla mnie nie istniało. I zwyciężyłam, tak jak i teraz zwyciężę!

P. Waydowa opowiada o śpiewakach, których pozyskała już dla opery, o sławnym zagranicą Ladis-Kiepurze, który niebawem wystąpi w „Irisie“ Mascagniego; o studio operowym, w którym śpiewacy otrzymywać będą całkowite przygotowanie sceniczne i operowe; o reorganizacji baletu i chórów.

Opera nie wyczerpuje wszystkich zainteresowań p. Waydowej. Idealna żona, doskonała gospodyni, znajduje jeszcze czas na pracę społecz-



Janina Korolewicz-Waydowa.

ną i bierze czynny udział w „Osiedlu“, prowadzonym przez p. Marszałkową Piłsudską.

— Zawsze zajmowałam się pracą społeczną — odpowiada na moje pytanie. — Nosiła ona tylko inny charakter. Trudno mi mówić o mojej karierze śpiewaczki, nie wspominając o pracy społecznej, tak są ściśle ze sobą związane!

— Czy pani jest warszawianką, czy też lwowianką? — pytam. — Bo słyszałam rozmaite zdania w tej kwestji.

— Warszawianką, warszawianką z krwi i kości — śmieje się nowy dyrektor opery. — Wyjechałam do Lwowa mając 15 lat, gdzie skończyłam z najwyższym odznaczeniem konserwatorjum. Kocham Warszawę, ale... we Lwowie stawiałam pierwsze kroki na deskach scenicznych, jeszcze jako uczenica konserwatorjum. Grałam wówczas „Hannę“ w „Strasznym Dworze“, występowałam w „Marcie“ i „Lunaticy“.

— Czy pani, jako dziecko, przejawiała zdolności do śpiewu?

P. Waydowa wybucha śmiechem.

— Skądże! Marzyłam o dramacie i początkowo uczęszczałam do Szko-

ły Dramatycznej. Wróźono mi świetną przyszłość. Mając 10 lat deklamowałam w Ciechocinku z wielkim powodzeniem. Dopiero Hilary Dylliński słyszał mnie deklamującą, zwrócił uwagę na mój głos i...

— I? — podchwytuję, gdy na chwilę urwała.

— Skończył się dla mnie dramat, a zaczęła opera.

Znowu urywa, ale zaraz snuje dalej nic swoich wspomnień.

— Po pierwszych występach we Lwowie, śpiewałam w Krakowie u Ludwika Hellera i mając lat 19, znalazłam się w Warszawie. Nigdy nie występowałam w małych rolach, zawsze w tytułowych!

Całe życie p. Korolewicz-Waydowej było tryumfalnym pochodem przez sceny wszystkich miast Europy, Ameryki, a nawet Australji, dokąd pojechała z trupą sławnej Melby. Imię Janiny Korolewicz stało się znane. Nazwisko jej na afiszu ścigało tłumy. Schylano wszędzie głowę przed jej talentem, podziwiano urodę, ceniono jej zdolności organizacyjne.

Śpiewała w Londynie w Covent Garden z Carusem. Jej głosem zachwycał się król hiszpański, portugalski, angielski, szach perski, a nawet car rosyjski Mikołaj II.

— Miałam 19 lat, gdy stałam o dwa kroki od cara i śpiewałam w Spale — w oczach wielkiej artystki zapalają się twarde błyski. — Uważane to było za wielki zaszczyt. Ale niedarmo byłam córką powstańca. Z naiwnością młodzieńczego dziewczęcia żałowałam, że nie miałam wtedy w ręku bomby! Otrzymałam od cara złoty zegarek z carską koroną i dwugłowym orłem, wysadzonym szafirami. Ani razu nie nosiłam klejnotu i oddałam go wraz z obrączkami ślubnymi na skarb narodowy!

O ile miłsze sercu p. Waydowej są wspomnienia, łączące się z występami na koncertach na cele niepodległościowe! Wielka wojna zastała ją we Lwowie. Opowiada o tragedji dzieci, zapomnianych lub porzuconych przez rodziców podczas inwazji rosyjskiej.

— Żołnierze moskiewscy wysyłałi je w głąb Rosji — mówi. — W kostjumie siostry Czerwonej Krzy-

za chodziłam po koszarach i wykupywałam biedne sierotki za flaszkę wódki, za paczkę papierosów, czasami za piosenkę... Potem p. Dulębianka, wielka działaczka społeczna, założyła tow. „Ochrona Dziecka“. Podczas mojego pobytu w Ameryce, udało mi się wydestać dla tych bezdomnych dzieci pół miliona złotych, które złożyłam na ręce prezydenta Neumana i arcybiskupa Wilczewskiego.

Ktoś wchodzi do gabinetu i przerywa miłą rozmowę. Niezadługo jesteśmy znowu same. Korzystam z tego i pytam, jakie chwile w życiu pełnem wrażeń p. Waydowej, pozostały na niej największe ślady.

Dyrektor opery zamyśla się. Na ustach pojawia się uśmiech, pełen melancholji.

— W mojem życiu przeżyłam dwa dni, o których nigdy nie zapomnę — mówi w zadumie. — Śpiewałam kiedyś w Częstochowie, w kaplicy Matki Boskiej w okresie Bożego Ciała. Trzeba pani wiedzieć, że kobietom niewolno śpiewać w

kaplicy Matki Boskiej i otrzymałam na to specjalne pozwolenie. Podczas nabożeństwa procesja wyszła przez główną nawę, tłum przyłączył się do niej i w kościele pozostał tylko ksiądz i ja na chórze. Dzwonne wrażeń ograniczyły. Nie sposób wyjawiać słowami uczucia, jakie mną owładnęło. Kaplica Matki Boskiej stała się dla mnie świątynią mistyczną, w której odbywało się jakieś nierealne misterjum. Wzruszenie chwyciło mnie za gardło. Zapomniałam, że jestem sławną śpiewaczką. Czułam się małą dziewczynką, idącą do pierwszej Komunii...

Urywa, ale po chwili ciągnie dalej.

— Drugi dzień jest zupełnie niepodobny do pierwszego. W roku 1917 czy 1918 podczas wieczery wigilijnej siedziałam koło Marszałka Piłsudskiego i śpiewałam kolendy. Nastrój panował miły i serdeczny. W pewnej chwili zaintonowałam kolendę „Lulajże Jezuniu, lulaj“. Oczy Marszałka, Jego mądre, ko-

chane oczy były wpatrzone w dal. Zdawał się nikogo nie widzieć. Wzrok swój utkwil w przeszłości, a może w przyszłości? A może prosta melodia rysowała wspomnienia minionych chwil dzieciństwa i wieczory wigilijne, spędzane w domu rodzicielskim? Nie śmiałam zapytać. Śpiewałam ze wzruszeniem „Lulajże Jezuniu, lulaj“, a Marszałek siedział bez ruchu...

W oczach sławnej śpiewaczki pojawia się wzruszenie. Zapomina o swoim odpowiedzialnym stanowisku. O obowiązkach, jakie na nią spadły. Żyje niezapomnianem wspomnieniem pewnego wieczoru wigilijnego...

— Pani dyrektorze — na progu staje jeden z pracowników opery.

Nastrój pierzcha. Jesteśmy znowu w tearze, koło nas kręcą się interesanci, śpiewacy, tancerze, cały aparat operowy, który niebawem puści w ruch nowy dyrektor Opery Warszawskiej.

St. Osińska.

„Na obozie wesolutko...“

Poranne słońce oświetla uspięne w zielonym lesie zielone namioty. Miarowym krokiem okrąża je warta. Oboźna, czuwająca przy telefonie, z radością stwierdza na tarczy zegara godzinę 7-mą. Uderza w gong energicznie, jakgdyby mówiąc:

„Wstawajcie! Wstawajcie! Śpicie sobie tak smacznie, a ja czuwam całą noc!... Wstawajcie i wy! Już czas! Wstawajcie!...“

Pobudkę podchwytyją syrenki drużynowych. Ciche namioty zaczynają rozbrzmiewać okrzykami. Wyskakują z nich postacie kobiece, mrużąc oczy przed słonecznym blaskiem. Szybko mijają 15 minut i nadchodzą „wnefki“ (instruktorki wychowania fizycznego) przećwiczyć 20 minutową ranną gimnastykę dla „rozruszania się“. Potem ślanie łóżek, sprzątanie, mycie się w rzece, i już 8,10: modlitwa, rozkaz, odprawa. Półgodzinne śniadanie i znów wnef: gry ruchowe, koszykówka, lekkoatletyka. Najwięcej lubiana siatkówka.

— Winszuję. Panie już nieźle grają — stwierdziłam pewnego razu, widząc przy siatce zręczne niewiasty, które kilka dni przedtem nie umiały poprostu trzymać piłki w rękach.

— Czas! — odpowiedziały roześmiane. — Gramy już 3 dni!

Ćwiczą się w grze w piłkę z zapalem. Większość wolnego czasu poświęcają wprawie do siatkówki.

Jednak chętnie w dzień słoneczny porzucają o 11-ej, piłki, dysk, skoki — i biegną do rzeki. Podnosi się krzyk i poziom wody. 120 ciał, zanurzonych jednocześnie, -to nie żarty! Trenują pływanie i urządzają w wodzie zabawy. Mokre i znużone kładą się na plaży, odpowiadając z oficjalną niechęcią, a z ukrytym żalem na zaczepki letników. („Na teren obozu wstęp obcym wzbroniony!“ Ileż to razy muszą powtarzać, słodko i srogo, jak komu, niezmordowane wnefki i drużynowe!)

O wpół do 1-szej, wykapanie, przebrane i głodne zasiadają oboźniczki w jadalni, to jest: na pokrytej dachem i zastawionej stołami i ławkami uroczej polanie z widokiem na Pilicę. Dyżurne roznoszą potrawy, proste, ale obfite i smaczne, z trzech dań. Je się prędko, rozmawia żywo, żartuje wesoło.

Po myciu naczyń, aż do podwieczorku, do 4-ej, wypoczynek dowolny, z obowiązkową ciszą półgodziną dla śpiochów. Oboźniczki rozkładają się za namiotami, oddychają balsamicznym powietrzem leśnym, zbierają się w grupy, czytają, rozmawiają, trenują siatkówkę, albo fotografują się. Panuje nawet dość ostry szal fotograficzny. Oboźniczki uwieczniają się: w długich spodniach i w krótkich, w kostjumach kąpielowych, przed namiotem, w lesie, w rzece i na plaży. Po

podwieczorku godzina pogadanki, na tematy, związane z zawodami. Więc: poza higieną osobistą higieną pracy, ochrona pracy i choroby zawodowe. Jedna pogadanka terenowa: społeczno - krajoznawcza i kilka, łączących skrytą w lesie sullejowskim grupę z życiem kulturalnym kraju: stulecie „Pana Tadeusza“, święto morza i rocznica „kadrówki“.

Pogadanki wywołują ożywione dyskusje, przekraczają oznaczoną godzinę i skracają, następujące po nich, gry ruchowe. Potem jeszcze piosenki, przygotowania inscenizacyjne, czy głośne czytanie, kolacja i najmiłszy punkt programu dziennego: ognisko.

O zmroku siadają blisko siebie na ziemi i, mając w górze szumiące sosny, przed sobą płonące ognisko i uroczą dolinę Pilicy, śpiewają: „Nie lij deszczu, nie lij, bo cię tu nie trzeba“... O Dance, która z przyjaciółką „jeden tylko mundur ma“... O „góralu, góraliczku“ i wiele innych, a między niemi własną, ułożoną wspólnie. Trzeba ją poznać i chociaż tak naiwna, jest ważna, bo oddaje nastrój robotnic. Oto ona:

„Na obozie wesolutko,
bawimy się swobodniutko
i śpiewamy: dana, dana,
głos rozlega się corana.

Drużynowa jest miłutka,
i przytem bardzo zgrabniutka,
choć jej czasem nie słuchamy,
to jednak bardzo kochamy.

Gimnastyczka też morowa,
przytem wcale nie nerwowa,
kiedy przyjdzie, humor niesie,
aż rozlega się po lesie.

Bo gdy przyjdzie gimnastyka
wspólnie z nami kozły fika,
kręci głową wlewo, wprawo,
krzyczy na nas: prędko, żwawo.

Kierowniczkę uwielbiamy,
że tak czule rządzi nami,
nie szukając zlej przyczyny,
załagodzi nasze winy.

Kwaternistrz, mówić nie trzeba,
że nam daje dużo chleba,
dba, byśmy się poprawiły,
i głodne nigdy nie były.

Komendantkę też kochamy,
swą mateczką nazywamy,
bo ma uśmiech taki boski,
dzień upływa nam bez troski“.

Co wieczór prawie odgrywają
króciutkie inscenizacje, wykazując
szczerłość i prostotę, graniczące czę-
sto z prawdziwą sztuką.

Ognisko kończą prośbą wspania-
lej pieśni:

„Wszystkie nasze dzienne sprawy,
przyjm litośnie, Boże prawy...“

I drugą, prześliczną:

„Słońce już zeszło, zeszło z gór, zeszło
z pól, zeszło z mórz,
w cichym śnie, spoczni już...“

I rozchodzą się na spoczynek. O
dziewiętej i pół capstrzyk ucisza
zwierzenia i śmiechy i obóz pogrą-
ża się w ciszy. Nad bezpieczeństwem
śpiących czuwa oboźna i warta
żołnierzy.

Kiedy oboźniczki zasypiają
spokojnie, komendantka zbiera dru-
żynowe i instruktorki przy gasną-
cem ognisku na „odprawę“.

Omawia dzień przeżyty, jego nie-
domagania i zalety. Urządza z in-
struktorkami, jak naprzykład prze-
sunąć pogadanki, żeby zmieścić w

planie daleką wycieczkę na grzyby
i, z mordowana „odprawia się“ spać,
zgadując: będzie jutro inspekcja?

O, inspekcje! Zawsze niespodzia-
ne: rano, w południe, po południu,
przed samym wieczorem!... Przer-
wą najciekawszą lekturę, najślodszą
drzemkę, najrozkoszniejszą kąpiel,
rozwieją błogie złudzenia, wykażą:
właśnie jest źle.

Były inspekcje wojskowe i cy-
wilne.

Wojskowe: kapitanowie i majo-
rzy. Przedmiot zainteresowań: sprzęt
obozowy: krążą naokoło namiotów,
jak najczulsza niańka około nie-
mowlęcia. Inspekcja cywilna: in-
spektorka pracy. Główny obiekt
badawczy: robotnice, ich samopo-
czucie, stosunek wzajemny, reakcja
na życie obozowe. I znów wojsko-
wa: władza Puwfu. Zainteresowa-
nia całością: zachowanie robotnic,
sprawność personelu instruktorskie-
go, spostrzeżenia komendantki.

Inspekcje znakomicie przyczy-
niają się do ożywienia życia obo-
zowego. Na odgłos samochodu obo-
zowniczkę rzucają się do sprzątan-
ia, instruktorki wpisują nerwowo prze-
robione zajęcia do notesów, komen-
dantki biegną na powitanie... Ruch!
Jeżeli przypadkiem przez kilka dni
inspekcje zewnętrzne o nas zapo-
mną, znudzona komendantka gru-
py zarządza inspekcję wydanego
obozowniczkom sprzętu pościelo-
wego: koców, prześcieradeł, zagłów-
ków... I znów jest przyjemnie.

Prócz obozu sulejowskiego in-
spekcje zwiedzały jeszcze dwa obo-
zy wypoczynkowe dla kobiet pracu-
jących: nad morzem w Rozewiu
i nad Niemnem w Grandziczach.
Komendantki tych obozów miały
mniej więcej te same utrapienia z

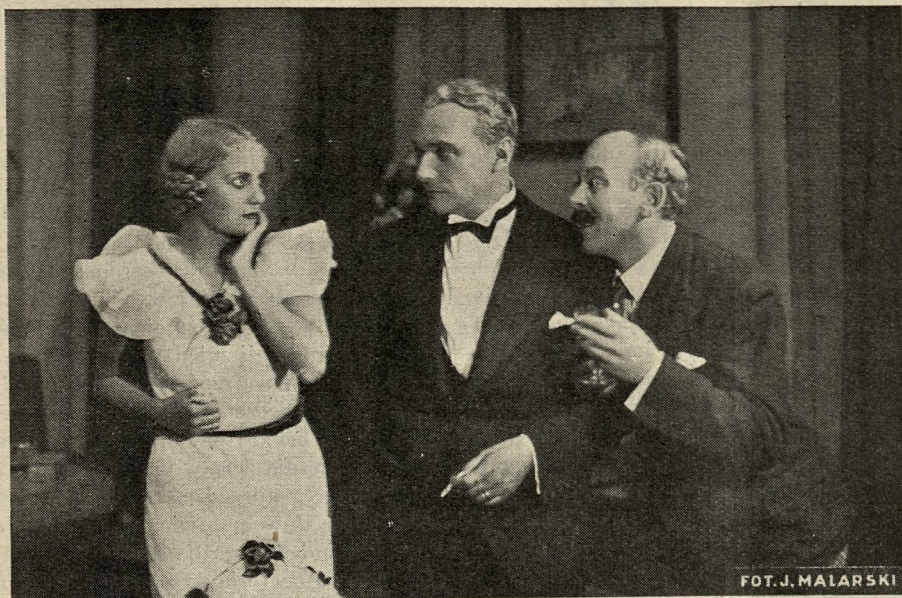
wybrykami robotnic i fantazjami
instruktorek, a oboźniczki ten
sam program, w ramach którego o
jednej i tej samej godzinie kładły
się spać, wstawały, gimnastykowa-
ły się, jadły i odpoczywały. Pół
tysiąca kobiet, ze wszystkich miast
i zakładów przemysłowych Polski,
za opłatą 5 złotych za pobyt dwu-
tygodniowy, po otrzymaniu zwrotu
kosztów podróży, spędzało poraż
pierwszy urlopy wypoczynkowe
daleko od trosk domowych, w bez-
pośrednim kontakcie z przyrodą,
pod opieką dbających o uprzyjem-
nienie im pobytu i odnowę ich or-
ganizmu instruktorek.

W pierwszym okresie trwania o-
bozów, w drugiej połowie lipca,
pisała o obozie rozewskim naczelna
inspektorka pracy, p. Miedzińska,
w „Gazecie Polskiej“. Dziś, kiedy
uczestniczki obozów wróciły do
warsztatów pracy i na terenach fa-
bryk, wśród koleżanek-robotnic, do-
konywują żadnymi względami nie-
kępowanej oceny przeżyć urlopo-
wych, można stwierdzić: idea obo-
zu wypoczynkowego dla kobiet pra-
cujących stworzona i realizowana
przez Państwowy Urząd Wychow.
Fizyczn. zdała egzamin konkretny:
przewyciężyła niechęć robotnic.
Bo były pełne obaw. Wolały trzy-
mać się dobrze znanych warunków
życia rodzinnego. Zamiast wyzna-
czonych do obozu kilkunastu, przy-
jeżdżało kilka. Przerażone prymi-
tywem życia w namiocie, chciały
wracać, nie rozpakowując walizek.
A pozostawszy, odjeżdżały po wa-
kacjach często ze łzami w oczach
i niebezpiecznym drżeniem w głosie.
Metody pracy, ulepszone doświad-
czeniami obozów tegorocznych, cze-
kają rozwoju w następnych.

Marja Woźniakówna.



Grupa uczestniczek obozu.



Lubieńska, Różycki i Znicz, w „Człowieku, który nie pije”.

„Człowiek, który nie pije”, Rapackiego, w teatrze Letnim.

„Człowiek, który nie pije”, albo „Na dwoje babka wróżyła”. Bo chwilami niewiadomo, czy autor powinien dostać odznaczenie od towarzystwa „Trzeźwość”, czy premjum od Państwowego Monopolu Spirytusowego w postaci skrzynki „czystej wyborowej”. „Człowiek, który nie pije”, szary, wzorowy, wiecznie odrabiający za kolegów - walkoniów biurowe kawalki i chronicznie zapoznany urzędnik zawdzięcza swój awans i koligację z dyrektorem nie osobistym zasługom, ale pijatyce, na której nastąpiło „zblizenie” zwierzchnika z podwładnymi.

Że przytem świeżo nawrócony abstynent w myśl zasady „in vino veritas”, wygarnął popijanemu wszystkie swoje i cudze tajemnice biurowe i domowe, że użył sobie za długie lata posłuchu, milczenia, lojalności, sypiąc niemilosiernie móżów wobec żon, kolegów przed dyrektorem, a dyrektora przed nim samym, to wina nie alkoholu, tylko nieumiejętnego obchodzenia się z trunkami. Gdyby poczciwina zamiast pić w kratkę wino, koniak, likier, lał w siebie tylko czystą wyborową, napewno nie doszłoby do skandalu.

A zresztą w tej uśmiechniętej krainie bajki farsowej nawet skandal wychodzi wszystkim na dobre. Wzorowy urzędnik dostaje awans, dyrektor żeni się z biedną, urodziwą i cnotliwą urzędniczką, roztrzępotane kurki domowe wracają na swoje podwórko, a zacne pijaczyny w dalszym ciągu będą wybiegać z biura „na jednego”.

Jednym słowem oaza szczęśliwości biurowej. Kryzys utopiono w powodzi „czystej”, a redukcje, obniżki pensji djabli wzięli. Szef — zacościł chłop z kociami,

jeżeli nawet lubił dłuższe konferencje sam na sam z ładnymi sekretarkami, to młoda energiczna żoneczka mocno go weźmie za czub i te wszystkie flirty biurowe ze łba mu wypędzi.

Powiecie, że to już wszystko było. I ta sekretarka, ciemnymi okularami ochraniająca swoją nieskazitelną cnotę, i ten wzorowy nedorajda życiowy za biurkiem, i ten naiwny szef, znający się na ludziach, jak rzeźnik na koronkach... „Znacie, to posłuchajcie”. Złota zasada Pana Jowialskiego święci tu swe tryumfy. Okazuje się bowiem, że w teatrze, jak w restauracji, o powodzeniu sztuki decyduje nie to, co jest podane, ale jak jest podane.

Farsa Rapackiego (zresztą chyba najlepsza z jego dotychczasowych fars) jest podana po królewsku. Kto wie, czy t. zw. „garnitur” nie okazałszy od pieczonego. Znicz z „człowieka, który nie pije” zrobił subtelną sylwetkę szarego pracownika, wydobyl z niej te głębie, których może sam autor w niej nie podejrzewał. Bezradność życiowa, kurezowe trzymanie się zasad, z których niestety ani jemu, ani otoczeniu nic dobrego nie przychodzi, przedziwna symbioza tępoty ze szlachetnością, nowy bardziej ucywilizowany Basmaczkin w polskim poprawnym i luksusowym wydaniu, wyznawca i ofiara świętego Biurokracego, oto, co stworzył Znicz.

Naokół tej naczelnej postaci grupowała się zgodnie reszta wykonawców: Lubieńska, Różycki, Hnydziński, Janecka, Krzymuska, autor sztuki i inni. Rewelacyj nie było i być nie mogło, ale dużo swobody, humoru, szczerzej życzliwości dla autorakalegi i dla ożywianych swoją grą szablónów - samograjów. Sztuka może liczyć na długotrwałe powodzenie.

S. P. O.

Na szczytach samowiedzy. — Wielki dzień w Genewie. — Męskie słowa i kazuistyka. — Sowiety w Lidze i „zmacony nastroj”. — Polska nie uzna jednostronnego systemu kontroli Ligi! — Jedyną ochroną naszych mniejszości — nasza konstytucja.

Przeżywalimy w tym tygodniu wiele

wzruszeń i nasze współczestnictwo w wypadkach dosięgało wielokrotnie — szczytów samowiedzy. Właśnie w dniach, kiedy lotnicy nasi przemierzali trasę okrężną, dopin-gowani zatajonem zabobonnie życzeniem całego społeczeństwa, zaszedł w Genewie fakt, który uczynił zadość naszemu państwowemu samopoczuciu.

Niejednokrotnie wspominaliśmy na tem miejscu o wniosku naszego delegata do Ligi Narodów, stawiającego kwestję ingerencji Ligi w sprawach mniejszości narodowych. Szło o to, żeby opiekę Ligi nad mniejszościami rozciągnąć na wszystkie państwa, a nie jedynie na parę, między innymi i na Polskę. Uogólnienie usprawiedliwiałoby tę opiekę, zrównywałoby pozycję państw. Polska nie chciała i nie mogła już dłużej znieść tego, żeby w zespole państw reprezentowanych w Lidze Narodów była traktowana jako państwo drugiego rzędu. Nie chciała i nie mogła już dłużej zgadzać się na to, żeby z tytułu traktatowej opieki rozpatrywano poszczególne skargi „pokrzywdzonych” karczarzy niemieckich, czy nawet plakiwne inwektywy posłanki ukraińskiej, p. Rudnickiej.

Muszę tu jeszcze parę słów powiedzieć na ten temat, aby wyjaśnić groteskę tego opiekuństwa, które miało czas zajmować się naprzykład cofniętą koncesją na wyszynk wódki, a nie śmiało wkroczyć w straszliwe prześladowanie żydów w Niemczech hitlerowskich. Liga Narodów w rezultacie uchyliła z rozpatrywania skarg mniejszości narodowych w Polsce jakby stała i ogromnie ważną pozycję w swoich zajęciach, gdy jednocześnie objawiała swoją całkowitą bezsilność w zapobieganiu wojnom, albo wojną grożącym sporom między państwami. W południowo - amerykańskich republikach chronicznie przelewa się krew. Między Japonją a Chinami toczyła się i bodaj jeszcze toczy wojna — bez wypowiedzenia oficjalnego. Sprawa rozbrojenia stała się również chroniczną niedomogą Ligi. Zaczem pieprzykiem posiadzeń Ligi były jedynie złośliwostki uciśnionych mniejszości w Polsce. Bo — uciśniona ludność polska w Czechosłowacji nie zanepokoila czułych sumień sędziów ligowych.

Bieżące Zgromadzenie Ligi sądziło, że „gwoździem” obrad będzie sprawa wstąpienia Sowiętów do Ligi Narodów. Parano się więc, nie bez uczucia podniecenia, tą sprawą i ustalono formuły zaproszenia Sowiętów do Ligi. Nie ulegało zresztą wątpliwości, że znajdzie się potrzebna większość na rzecz Sowiętów, ale mimo to francuski minister spraw zagranicznych, p. Barthou, bardzo się krzątał około zjednywania głosów. Tak więc wstąpienie i zaproszenie, albo logiczniej: zaproszenie i wstąpienie

Sowietów było już dostatecznie urobione, a mimo wszystko, nosiło cechy wielkiej sensacji politycznej, a może nawet i historycznej. Była to bowiem „wielka gra“ Francji.

Nastrój ten „zamał“ Minister Beck swoim oświadczeniem w dniu 15-go września: że do czasu wprowadzenia w życie powszechnego, jednolitego systemu międzynarodowej ochrony mniejszości, Polska od dnia dzisiejszego nie będzie współpracowała z organami międzynarodowymi w zakresie kontroli nad stosowaniem przez Polskę zasady słusznego i równego traktowania mniejszości... To wypowiedzenie warunkowe traktatu było konieczne dla zaznaczenia mocarstwowego stanowiska Polski i jeżeli odpowiedź mocarstw obracała się wokół „liter“ obowiązujących traktatów, które Polska jakoby zrywa, to nawet laik zrozumie, że zaskoczeni enuncjacja ministra Becka nie znaleźli bardziej rzeczowych i bardziej rzeczywistych argumentów. Były to argumenty kazuistyczne, więc nieprzekonywujące nikogo swoją racją i nie czyniące zadość poczuciu sprawiedliwości.

Poszedł natychmiast wielki szum i wrzask po prasie świata. Głosy te, oczywiście, naświetlały sprawę pro i contra. Powiedzmy jednak otwarcie, że mieliśmy dużo oświadczeń pro. Moment wrzenia jeszcze trwa, a nasz minister wcale o to nie zabiega, żeby jego słowa, pełne godności i słusności, przebrzmiały bez rezultatu. Toteż londyński „Daily Express“ podał światu jeszcze bardziej wzmocnione oświadczenie jednego z wybitnych polityków polskich: „My, Polacy, raczej usuniemy się z Ligi Narodów, aniżeli powrócimy do jednostronnego systemu kontroli Ligi, któremu wczoraj przeciwstawiliśmy się. Trwamy przy swoim. Jest to fakt dokonany i gotowi jesteśmy ponieść wszystkie konsekwencje, jakieby stąd wynikły. Korespondencja, jaką Liga w przyszłości wystosuje do nas w sprawie mniejszości, zostanie odesłana nieotworzona...“

Mówiono u nas, że dzień 15 ty września 1934 roku będzie nazawsze w historii naszej dniem szczególnej wagi. Będzie dniem historycznym. Niema w tem żadnej przesady, jeżeli się uwzględni, że Polska przez 12 lat czekała, żeby uwolnić się od tej poniżającej kontroli. Polska konstytucja posiada liberalną i tolerancyjną postawę wobec mniejszości i to całkowicie wystarcza do wzbudzenia zaufania, że u siebie możemy się rządzić bez obcej kontroli.

H. N.

NA DROGACH „POKOJU“

Dwie są drogi, które ludzkość zdąża w nieograniczoną przyszłość możliwości: droga rozwoju technicznego i droga rozwoju duchowego. Obydwie te drogi jednak spotykają się na horyzoncie w harmonijnej syntezie. Wszakże ludzkość ze wszystkimi genialnymi wynalazkami łączyła zawsze głęboko zakorzenione nadzieje — początków nowej ery w rozwoju ducha ludzkiego. Ery, która na drodze przemiany serca człowieczego ogłosiła zwycięstwo Dobra i Powszechnego Braterstwa.

Idealy te przyświecały najpiękniejszym religiom świata. Nadzieje te nie opuszczały człowieka przy pojawieniu się każdego nowego odkrycia, z wyjątkiem proc. machin wojennych i trujących gazów, które wciąż w swe złowrogie szeregi groźna postawa Marsa.

Wystarczy przypomnieć ile nowych marzeń ocknęło się w życiu człowieka w chwili, kiedy, śmieszna dziś dla nas, lokomotywa Stephensona 100 lat temu ruszyła na szynach maleńkie wagoniki z oszalałymi szybkością 15 km. na godzinę. Podziw graniczący z przerażeniem tych wszystkich, którzy widzieli pierwszą kolej kazała im wierzyć, że szyny przecinające glob ziemski, jak nerwy organizm ludzki, doprowadzą na wyżyny nie tylko dobro ekonomiczne wszystkich krajów, dzięki szybkiej komunikacji, ale, że zniweczona zostanie przestrzeń między ludźmi i że na zbliżenie materialne zażębi się to zbliżenie duchowe, stwarzając wspólny dach świata.

Już wtedy bowiem ruch lokomotywy nazywał się pokonywaniem przestrzeni i czasu, zanim zawracały wśród chmur śmigła samolotu, zanim na szosach pojawiły się tumany kurzu spod kół samochodu i zanim telefon i telegraf rozpoczął swą pracę w błyskawicznym tempie.

Wszystkie te wynalazki stały się czynnikiem rozwoju handlu, przemysłu i wygody. Poszły w służbę interesu.

Aż oto w kolejności odkryć pojawiło się radio i odrazu wkroczyło na drogę wyzskania wartości niematerialnych, bo choć może ono być eksploatowane dla celów handlowych a nawet i wojennych, to jednakże najgłębszym celem jego jest ideał powszechnego porozumienia, opartego na obcowaniu ze światem, ze sztuką i pięknem.

Jest ono jedynym w dziedzinie wynalazczości odkryciem, pozwalającym przypuszczać, że owe wielkie nadzieje ludzkości o zbrataniu się ludów mają pierwszy raz możliwość wyjścia ze sfery marzeń na ziemię rzeczywistości.

Fale radiowe łączące dwóch ludzi różnych narodowości i odmiennych przekonań we wspólnym zachwycie dla utworu, czy też artyści występującego przed którymś z mikrofonów świata, budzą w nich jednak głębokie uczucie, odczyszczane z patyny codzienności i meskinerji.

Słowa człowieka mówiącego przed mikrofonem, a wpadające w samotność naszego serca w chwili najbardziej tego dobrego słowa wyczekującej, są objawieniem się inteligencji fal radiowych. Nieoczekiwana ta pomoc budzi w nas uczucie wdzięczności i bliskości w stosunku do tego, który do nas przemawia. Mamy ochotę powiedzieć mu — dzięki ci przyjacielu...

Zabłąkana nuta piosenki w mieszkaniu chorego, czy niezamożnego, jest takim samym misterjum rozgrywającym się pod powłoką codziennego faktu.

A wczesne „dzieńdobry“ i ostatnie „dobranoc“ nie jestże pozdrowieniem gromady?

Organizacje wypowiadające się i komunikujące zapomocą mikrofonu, dzięki komunikatom społecznym, audycje szkolne

zespalaające zainteresowanie młodzieży, transmisje z uroczystości narodowych, reportaże z fabryk, kopalń, choćby i z ulicy, gdzie mikrofon chwytą życie „na gorąco“ — wszystko to stanowi „służbę łączności“ w jaką się wprzęgło radio.

Dalsza zaś międzynarodowa akcja, przede wszystkim zaś Międzynarodowa Unia Radjofoniczna, strzegąca pokojowych praw radjofonii, koncerty europejskie, transmisje z wydarzeń światowej miary, z meczów, challengeów, wspólne audycje światowe, jak to miało miejsce w dzień Wigilijny r. ub. obalają kordony i granice państwowe, stwarzając wspólny szlak międzynarodowego porozumienia i bezpośredniej komunikacji między państwami.

Pozwala to wejrzeć w głąb kultury i cywilizacji społeczeństwa. Dopuszcza dzięki temu tak cenną wymianę zainteresowań, która zacieśnia więzy przyjaźni, niwecząc nieraz szereg uprzedzeń.

Jednym słowem otwiera się przed ludźmi tajemnicza możliwość obcowania ze światem, rozwijająca zdolności, przymioty duchowe i intelektualne jednostki. Kształtuje z dnia na dzień coraz realniej typ obywatela świata.

Lecz to chyba jeszcze nie wszystko. Przyszłość radiowa leży przed nami olbrzymim obszarem, na którym Jutro wzniesie gmach trwały i warowny ogólnoswiatowego pokoju.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

Pani E. W. z Białek.

Międzynarodowe Biuro Pomocy Emigrantom mieści się w Warszawie, Mokołowska Nr. 12.

P. Józef Krzywoń w Mikołowie.

Szkoły dla freblanek w Warszawie: Seminarjum ochraniarskie powiatowe, Nowowiejska 21; prywatne: Leokadii Turzańskiej, Chmielna 10; Turkiewiczówny — Chmielna 48.

P. Helenie H.

Przysłana przez Panią nowela ma jedną wielką zaletę: prostotę naracji i stylu. Żadnej pozy, żadnego silenia się na oryginalność i efekt. To już bardzo dużo, ale to jeszcze nie wszystko. Zachodzi pytanie, co czytelnikowi daje ta nowela? Poza dosyć suchym sprawozdaniem o przeżyciu dwojga młodych — nic. Ich bezsilność wobec życia, brak świadomości, czego chcą właściwie, niedostatecznie umotywowana. Ostatecznie nikt tam nikogo nie zmusza do zaręczyn, więc poco mówić o złamaniu życia? Ludzie, którzy w sprawach najważniejszych idą po linii najmniejszego oporu, nie warci są lepszego losu.

**Nowe modele jesienne
w poradni mody**

nadeszły

Świętokrzyska 17, m. 3.

NASZ LEKARZ

(Angina)

W ustroju ludzkim skupienia tkanki chłonnej stanowią rodzaj wałów ochronnych przed rozprzestrzenianiem stale trwającej inwazji bakteryjnej. Większe ugrupowania tej tkanki noszą nazwę gruczolów, mniejsze — grudek limfatycznych czyli chłonnych, gęsto porozrzuconych w rozmaitych częściach ciała. Poprzez owe gruczoly i grudki „filtruje” się limfa, a ciała obce, które przedostały się z naczyń limfatycznych do skupień tkanki chłonnej, jako to np. bakterje, pył węglowy i t. p. zostaje uwiecznione w jej utkaniu. Bakterje staczają walkę z białymi ciałkami krwi, jeśli jednak te ostatnie okazują się zbyt słabymi wobec zjadliwości napastników bakteryjnych, gruczoly i grudki chłonne reagują stanem zapalnym.

Zapalenie, to przejaw obrony organizmu wobec czynników uszkodzających, a przejawami jego są:

1) przekrwienie miejsca, w którym się proces toczy, ma to na celu wzmoczenie przyprływu świeżych elementów obronnych zawartych we krwi;

2) temperatura ciała podnosi się ponad normę, (w niektórych przypadkach tylko miejsca, objęte stanem zapalnym, wykazują ograniczone podwyższenie temperatury);

3) uczucie bólu, stale towarzyszące tym stanom.

Wszystkie te cechy spotykamy przy anginie, gdy jest ona równoznaczna z zapaleniem migdałków podniebiennych, będących skupieniami tkanki chłonnej. Tworzą one wraz z wyrosłami adenoidalnymi stropu nosogardzieli oraz z grudkami limfatycznymi, znajdującymi się w podstawie języka, rodzaj pierścienia chłonnego, ochraniającego górne odcinki dróg oddechowych. Podobnie, jak na powierzchni błon śluzowych jamy ustnej i nosowej, tak i na powierzchni migdałków znajdują się stale znaczne ilości różnorodnych zarazków odznaczających się mniejszą lub większą złośliwością. W przypadkach, czy to uszkodzenia powierzchni migdałków, czy to pod wpływem działania czynników uspasabiających, jak np. przeziębienia, wreszcie wtedy, gdy zarazki drogą limfy lub krwi wniknęły do migdałków, rozpoczyna się ich stan zapalny, powszechnie nazywany *anginą*.

Wpływ, jaki na powstawanie zapaleń migdałków wywiera oziębienie ciała, polega na tem, że na drodze odruchowej występuje kurczenie się naczyń krwionośnych. W miejscach oziębionych zmniejsza się dopływ krwi, a tem samem i świeżych elementów obronnych, zarazki zyskują przewagę, ze wzmoczoną siłą atakują tkanki, które pod wpływem podrażnienia reagują stanem zapalnym.

Najczęściej przebiega zapalenie migdałków w ostrej postaci kataralnej, powstającej w większości przypadków w następstwie nagłego oziębienia ciała. Objawy towarzyszące są powszechnie znane: gorączka, ból gardła oraz widoczne zaczerwienienie i obrzęk migdałków, luków podniebiennych, języcz-

ka, a niekiedy i tylnej ściany gardła. Znacznie powiększone migdałki są wyraźnie widoczne, gdyż fałdy luków podniebiennych, które je w normie prawie zupełnie zakrywają, nie osłaniają obrzękłych tworów. W przebiegu anginy powstają bardzo często punkcikowate białe - żółte naloty, umiejscowione w zagłębieniach, znajdujących się na powierzchni migdałków.

Ta odmiana anginy nosi nazwę *zapalenia mieszkowego*. Naloty, początkowo rozrzucone w postaci drobnych plamek, w przebiegu choroby zlewają się ze sobą, tworząc szaro - żółtawe błony, niekiedy bardzo podobne do tych, jakie stale spotyka się w przebiegu błonicy. Różnica między temi błonami polega na tem, że w przypadkach błonicy błony rozprzestrzeniają się z migdałków na łuki podniebienne, języczek, sięgając do tylnej ściany gardła, natomiast przy mieszkowym zapaleniu spotyka się je wyłącznie na powierzchni migdałków.

Wczesne okresy błonicy niekiedy bardzo trudno odróżnić od anginy, dlatego też w razie pojawienia się na migdałkach rozlanych nalotów, przybierających postacię błon, zalecić trzeba możliwie szybkie przesłanie nalotów do pracowni bakterjologicznej celem zbadania, czy nie zachodzi w danym przypadku błonica.

O ile wezwanie lekarza z jakichkolwiek powodów jest niemożliwe, to zebrać można nalot z migdałka w sposób następujący: na wyjałowiony pręcik nawinąć niewielki pęczek waty, również wyjałowionej, poczem wacikiem dotknąć miejsca, pokrytego nalotem, i jednym delikatnym ruchem zetrzeć nalot (nie jest konieczne zupełne starcie nalotu, o ile tenże przy delikatnem potarciu nie daje się usunąć). Następnie pręcik wraz z wacikiem umieścić w wyjałowionej próbówce (lub buteleczce) i zatkać ją korkiem z wyjałowionej waty. Wyjałowienie pręcika z próbówki wykonuje się, gotując je w wodzie w ciągu 15 minut, watę zaś brać wprost z wyjałowionej paczki. Przed zabiegiem umyć dokładnie ręce gorącą wodą i mydłem.

Anginy kataralne, powtarzające się często u tejże samej osoby, prowadzą w następstwie niekiedy do stanów, zwanych *przerokiem zapaleniem migdałków*. Przejawia się ono stale utrzymującymi się ropniami czopami w zachyłkach migdałków, temperatura ciała nie bywa podwyższona, migdałki najczęściej nie powiększone. Zapalenia przewlekłe często ulegają obostrzeniu, temperatura ciała podnosi się ponad normę, występują bóle i zaczerwienienia gardła, jednym słowem powstaje obraz ostrej anginy. Jak z tego widać, powstaje stan, dający się określić jako „błędne koło”, stany ostrego zapalenia przechodzą w przewlekłe i odwrotnie, tak, że jedyna droga wyleczenia takich przypadków jest poddanie chorego zabiegowi operacyjnemu w celu wyluszczenia migdałków.

Wystawa Mody jesienno-zimowej

pod hasłem

„To co najmodniejsze”

od 5 do 15 października r. b.

w Poradni Mody, ul. Świętokrzyska 17 m. 3. Tel. 6-76-72

Wstęp na wystawę dla prenumeratorek „Bluszczu” bezpłatnie za zaproszeniami, które w godz. od 10-ej do 2-ej (z wyjątkiem niedziel i świąt) wydaje redakcja „To co najmodniejsze” w lokalu przy ul. Świętokrzyskiej Nr. 17 m. 3.

Dzieci cierpiące na *skazę limfatyczną* są specjalnie skłonne do zapadania na częste anginy, migdałki są stale powiększone, występuje osłabienie słuchu, bóle uszu oraz chroniczny nieżyt nosogardzieli. I w tych przypadkach jedynie zabieg chirurgiczny daje dobre wyniki leczenia, przyczem najczęściej wycięcie jedynie wyrosły adenoidalnych bez usunięcia migdałków usuwa raz na zawsze skłonność do angin, a jednocześnie inne objawy towarzyszące również ustępują.

W następstwie ostrego zapalenia migdałków mogą wystąpić różnorodne schorzenia, już to w postaci powikłania w okresie trwającej anginy, już to po jej przebyciu. Jako pierwsze wymienię *ropień okołomigdałkowy*, najczęściej jednostronny. Objawy towarzyszące, to silne bóle promieniujące do ucha strony chorej, oraz bardzo silne bóle przy połykaniu, temperatura bywa znacznie podwyższona, bardzo często występuje szczękocisk, t. j. niemożność poruszania szczęką dolną, spowodowane silnymi bólami w stawie szczękowym.

W następstwie anginy, zwłaszcza u małych dzieci, tworzyć się mogą ropnie pozagardzielowe; silna bolesność uniemożliwia połykanie, a występujące jednocześnie uporczywe wymioty prowadzą do wyniszczenia stanu ogólnego dziecka. Ropień okołomigdałkowy, jak i pozagardzielowy leczy się wyłącznie chirurgicznie, nacięcie ropni w odpowiednim czasie chroni przed mogącą wystąpić śmiercią z uduszenia po samoistnym ich pęknięciu.

Poza powikłaniami angin, umiejscawiającymi się w najbliższym otoczeniu migdałków, jak oba wyżej wymienione przypadki *zapalenia nerek* lub *wsierdzia* nie zaliczają się do rzadkości. Również ostre *zapalenie wyrostka robaczkowego*, powstające w następstwie przebytej anginy bywają dość często obserwowane, przyczem odznaczają się one wybitnie ostrym przebiegiem, nierzadko prowadząc w bardzo krótkim czasie do przedziurawienia wyrostka lub jego zgorzeli.

Powikłania zapaleń migdałków mogą przejawiać się albo w kilka dni po przebytej anginie, albo bezpośrednio w czasie jej przebiegu. Niekiedy objawy, towarzyszące schorzeniom, powstałym, jako powikłanie anginy, wysuwają się niejako na plan pierwszy wówczas, gdy zaczerwienienie, obrzęk i ból migdałków nie zaznaczyły się jeszcze wyraźnie, możnaby więc sądzić, że występująca potem angina jest chorobą towarzyszącą, gdy tymczasem jest ona bezpo-

średnim powodem ostrego zapalenia wyrostka, lub nerek.

Gościec stawowy z reguły rozpoczyna się mniej lub więcej ostrym zapaleniem migdałków, rzadziej objawy anginy występuje jednocześnie z objawami gościcowemi, t. j. obrzękami i bolesnością stawów.

Tak zwana *angina Plant-Vincente*, wywołana przez wrzecionkowce oraz pewien rodzaj krętków, odznacza się tem, że najczęściej schorzenie to obejmuje tylko jeden migdalek, przyczem nalot (o wybitnie przykrej woni) umiejscawia się w jamce ponad migdałkiem. Zaczerwienienie oraz bolesność gardła bywają nieznaczne.

Z pośród chorób zakaźnych poza wymienioną już *blonicą*, *plonica* odznacza się typową anginą, która w większości przypadków jest pierwszym objawem rozpoczynającej się plonicy. W tych przypadkach zabarwienie łuków podniebiennych, języczka, ścian gardzieli oraz migdałków odznacza się intensywną czerwienią. Powierzchnia migdałków bywa przeważnie pokryta nalotami żółtawymi, niezlewającymi się ze sobą. Typowy ten obraz *anginy ploniczej* zawiera się przez to, że naloty, gęsto oblepiające migdałki, zlewają się ze sobą, tworząc błony, różniące się tem od błoniczych, że pierwsze dają się z łatwością usunąć wacikiem, gdy błony błonice przylegają bardzo mocno tak do migdałków, jak i otaczających je ścian gardzieli, po zdjęciu zaś błon stale występuje krwawienie ze zniszczonych śluzówek.

Angina, która spotyka się w początkowych okresach *odry*, niewiele różni się od zwykłej anginy kataralnej.

Leczenie lżejszych postaci zapalenia migdałków polega w pierwszym rzędzie na *oczyszczaniu powierzchni migdałków* płynami dezynfekcyjnymi o słabem stężeniu, co skutecznym za pomocą *plukania gardła wodą utlenioną* (łyżeczka na szklanek wody), *roztworami lekkimi kwasu bornego*. Nieraz bardzo dobre wyniki daje *kuracja cytrynowa* (w ciągu dnia wypić łyżeczkami wyciśnięty sok z 1 do 2 cytryn), stosować można również tabletki odkażające do ust (Formamnit). *Okłady rozgrzewające pod czeratką* stosować nie na szyję samą, ale w ten sposób, by okład sięgał poza uszy, ku gorze.

Celem zwalczania gorączki podajemy „Motopirynę”, piramidon, salipirynę i t. p.

W przypadkach, gdy na migdałkach pojawią się naloty w postaci błon, zalecić można jedynie wezwanie lekarza, który przepisze kurację odpowiednią do stanu chorego.

S. E.

Higjena i piękno stopy

Stopa dziecka należy do najpiękniejszych bodajże części jego ciała, i dopiero później deformuje się, dochodząc w swym wyglądzie nie raz do karykatury, co szczególnie daje się zauważyć u kobiet.

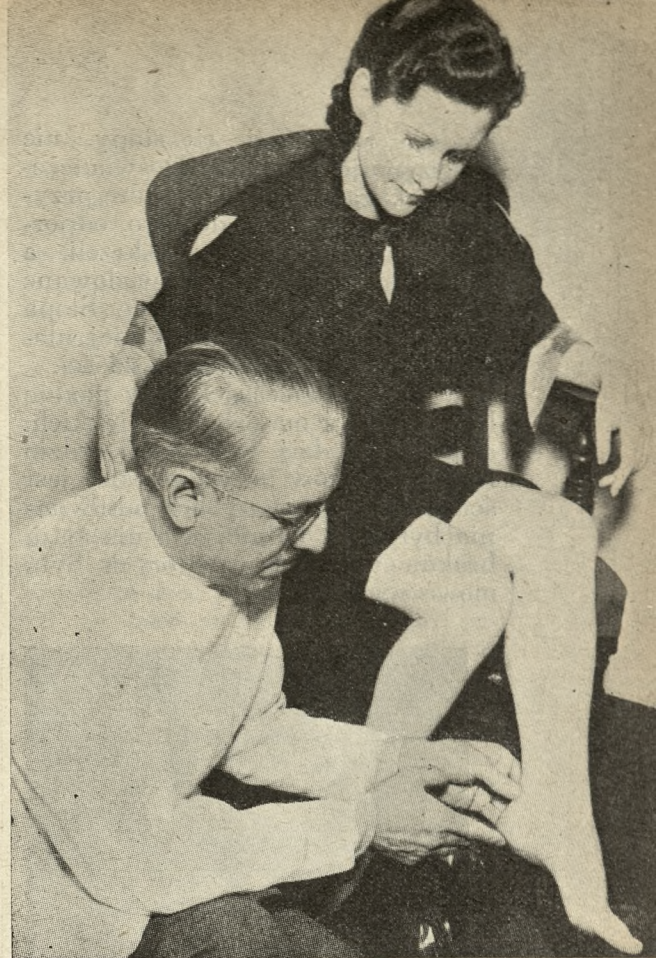
Męska stopa w wieku dojrzałym znacznie mniej jest zaszpeconą, aniżeli kobieca, jakkolwiek, zdawałoby się, pielęgnowaną bywa z mniejszą starannością.

Przyczyny deformacji szukać należy nie w nadmiernym chodzeniu, nie w dźwiganiu na sobie ciężaru całego naszego ciała, ale w nieodpowiednim krępowaniu go zazwyczaj ciasnym i niewygodnym bucikiem, oraz w wysokości obcasów i korków.

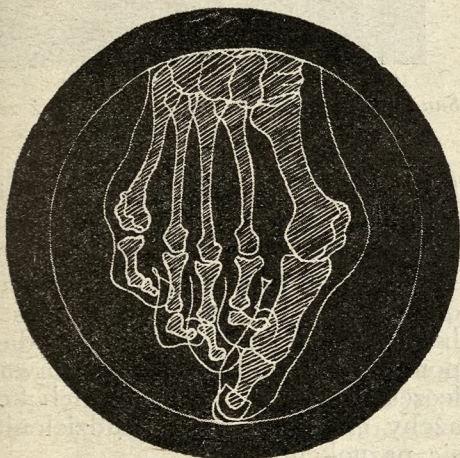
Stopy greczynek i rzymianek różniły się od naszych swym wyglądem tylko dlatego, że nie były nadmiernie ściskane. Poza deformacją, dużą rolę odgrywają zgrubienia skóry i odciski, na które uskarżają się prawie wszystkie pa-

nie. Co może być brzydszego od stopy z uwydatnionym stawem dużego palca z podwiniętym małym palcem lub też ze zgrubieniami skóry, już nie mówiąc o odciskach. Jak mało widzi się na plaży pań z obnażonymi stopami, każda zazwyczaj nosi pantofle. Moda tu przystosowywała się do warunków; gdy bowiem uczesanie można zmienić, ujmując lub też dodając włosów, można zgolić brwi, albo poprawić ich rysunek przy pomocy barwika, wady stopy, będące rezultatem niedbalstwa wielu lat, nie udają się usunąć jednym zamachem. Nie każda pani odważy się pokazać nogę z wystającymi stawami, podwiniętymi palcami lub też odciskami, co zresztą jest słuszne, gdyż nie należy razić wzroku otoczenia nieestetycznym wyglądem.

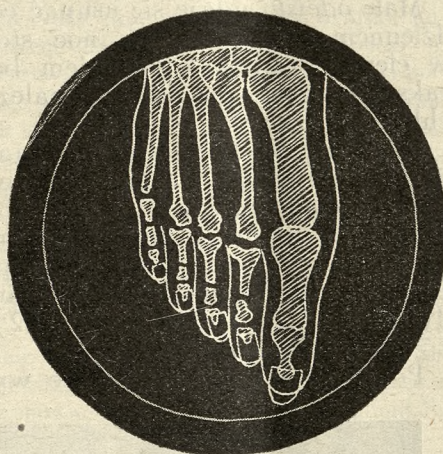
Dzisiejsza moda poszła w kierunku higieny i wprowadziła w życie buciki o niskich obcasach, a nawet



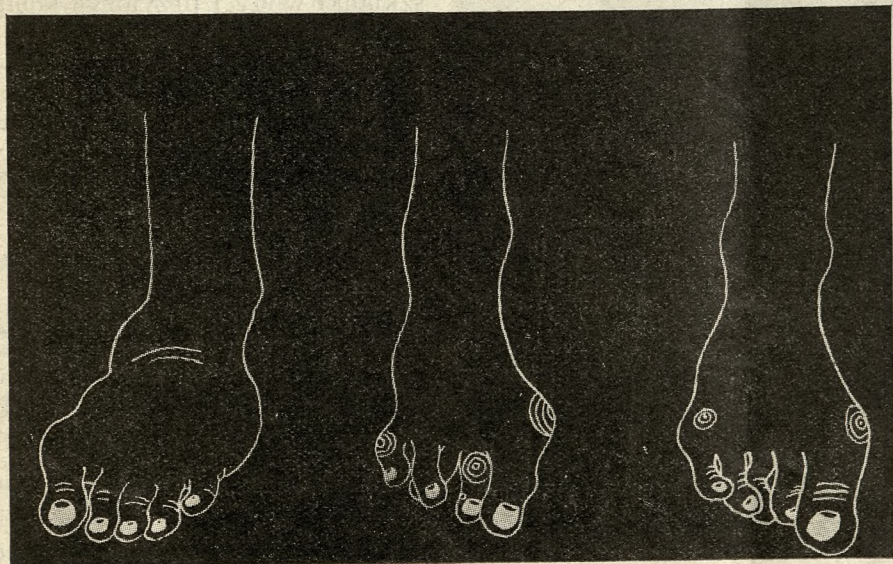
Zdejmowanie pomiarów z pięknej stopy o dobrze rozwiniętym podbiciu.



Szkielet stopy zniekształconej z wystającą kostką wielkiego palca.



Szkielet stopy normalnej.



Stopy zniekształcone przez ciasne i źle dopasowane obuwie.

z wolnymi piętami i paskami zamiast zwartej masy skóry.

Zdaje się, że tego rodzaju buciki będą modne i w karnawale.

Nie przeszkodzi to ochronie od zimna, gdyż wygodny kalosz w zupełności wystarcza, a możemy tym sposobem doprowadzić stopy do stanu stóp, jeżeli nie starożytnej greczyнки lub rzymianki, to przynajmniej współczesnej nam japonki. Chodzić można dużo, byleby tylko obuwie było wygodnym.

A niewygodnym jest nietylko ciasne, ale i zbyt luźne, lub z twardego materiału obuwie, w zbyt bowiem luźnym trzewiku noga obciera się, co również wywiera ujemny wpływ. Wysokie obcasy i kroki nie pozwalają stąpać pewnie, czyniąc chód kaczkowatym, albo zbliżonym do akrobatyki. A gdy dodamy do tego korki, wówczas punkt ciężkości ciała zmieni się, a miednica znacznie nachyla się naprzód, co powoduje szkodliwy ucisk na narządy w niej umiejsczone (macica — jajniki). Wielu też lekarzy jest zdania, że przyczyny cierpienia organów kobiecych należy szukać właśnie w nieodpowiednim obcasie.

A i cierpienia w okolicy ścięgna Achillesa i obrzęki w okolicy kostki są zazwyczaj spowodowane niehigienicznym bucikiem.

Ze względów zdrowotnych zalecić należy chodzenie boso codziennie chociażby po pokoju w ciągu godziny. Zarzuty, że takie ćwiczenie po-

woduje rozrastanie się stopy, nie wytrzymuje krytyki. Doświadczenie wykazało, że dzieci, które przyzwyczajone są chodzić boso, odporne są na katary nosa, oskrzeli, a także inne cierpienia, spowodowane tak zwanym przeziębieniem. Stopa zaś takich osobników trudniej ulega zdeformowaniu w przyszłości.

W dawnych czasach, gdy modne były buciki z materiałów miękkich, a jeszcze i dziś w Japonji, gdzie format bucików przystosowany jest ściśle do nogi, stopy bez porównania były i są ładniejsze i nie mają braków nabytych, o których była mowa wyżej.



Wygodne letnie sandałki.

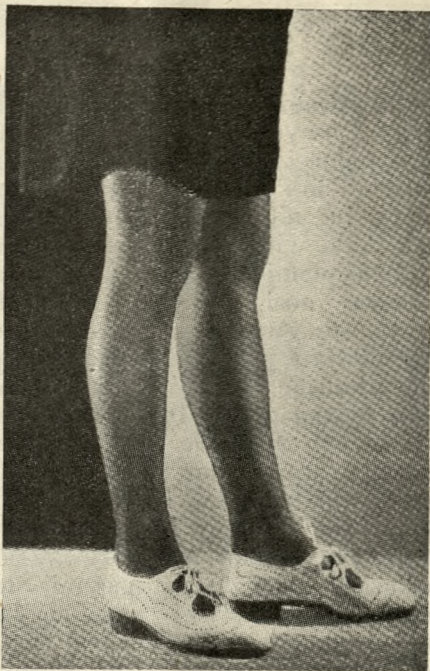
Należy przyzwyczajać się od dziecka do noszenia wygodnego obuwia. Wysokie zaś obcasy powinno się zupełnie usunąć. Zastrzeżenie jednak zrobię tu co do stopy płaskiej, kiedy wyższy obcas jest wskazany.

Co do koloru obuwia, to białe i jasno-popielate buciki pogrubia i zwiększa stopę. Pończochy z boczna strzałką wyszczuplają kostkę i łydkę.

Przymierzać buciki przy kupnie należy wieczorem, gdy noga jest znużona. Piękna stopa nie powinna być zbyt mała, ani zbyt duża, wielkość jej powinna być proporcjonalną do wielkości całego ciała. Powinna być ona nieco wydłużoną o wysokim podbiciu.

Pielęgnacja stopy nie powinna zajmować mniej czasu ani uwagi, aniżeli ręki. Toaleta nogi polega na codziennym jej myciu ciepłą wodą i utrzymaniu paznokci na pewnej długości, by nie były zbyt krótkie, co spowodować może wrastanie ich, lub zbyt długie, co znów wywołać może zgrubienie przylegającej do nich skóry na palcach.

Zgrubienia na podszewkach nale-



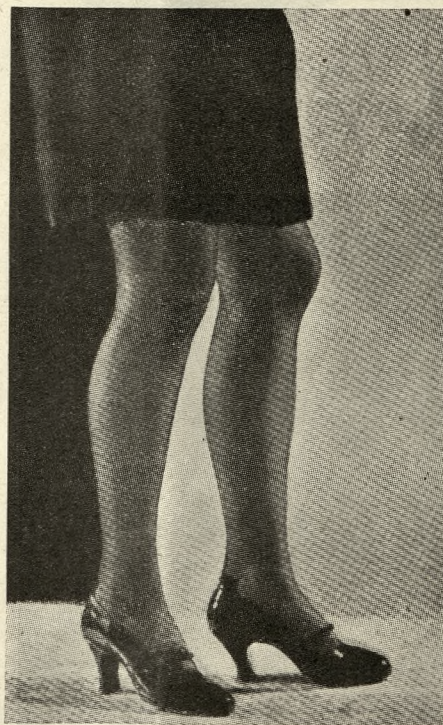
Jak wygląda kolano, kiedy bucik jest na niskim obcasie.

ży po wymyciu nóg wycierać pomaksem, następnie przetrzeć wodą kolońską i przysypać ryżowym pudrem w dobrym gatunku.

Małe odciski udaje się usunąć codziennym moczeniem na noc stóp w ciepłej wodzie z dodaniem boraksu, poczem przykładając należy chleb zmoczony w occie.

Większe odciski ustąpić powinny od pendzlowania małym pendzelkiem w ciągu mniej więcej 15 dni, płynem o składzie następującym: kwasu salicylowego i spirytusu po 1 gr. wyciągu spirytusowego z indyjskich konopi 0,5 gr., eteru 62% 2,5 gr. i kolloidjum 5 gr.

Po 15 dniach należy dobrze wy-



I jak wyglądają te same nogi na wysokich obcasach.

moczyć nogi w gorącej wodzie, a odcisk powinien zdjąć się razem z nawarstwieniem, utworzonym przez kolloidjum. Również dobrze jest nakładać na noc na odcisk skórę cytrynową.

Bolesne odciski powinny otaczać się krążkiem z hubki lekarskiej. Odciski między palcami dobrze jest opatrywać wkładaniem między palce kawałka waty, obsypanej taniną



Sandałki nie mogą poprawić stopy już zepsutej przez niewłaściwe obuwie.

lub sproszkowanym alunem. Unikać należy bezwzględnie środków przyrastających i żrących.

Wrośnięty paznokieć powinno się obcinać tylko zgóry, nigdy zaś z boków, następnie należy zakładać pomiędzy paznokieć i skórę kawałeczek watki, ale niezbyt głęboko, ażeby nie spowodować oddzielenia się paznokcia.

Przy skaleczeniu się podczas obcinania paznokci należy wymoczyć nogę w kwasie bornym w roztworze 2 łyżek stołowych na 1—4 szklanki wody i przyłożyć kompresik z wody Burowa.

Pocenie się nóg wymaga specjalnego omówienia, albowiem ma ono sporo przyczyn, bez których usunięcia nie może być mowy o wyleczeniu wady tak przykryj nie tylko dla cierpiącego osobnika, ale i dla otoczenia.

Dr. Med. Zofja Rostkowska.

Odpowiedzi działu lekarskiego

P. Teodozji Siemieńskiej: ad 1) żadna djeta nie jest wymagana, 2) po 1 pastylce naczno przez 2 dni.

Odpowiedzi działu kosmetycznego Kasztelance.

Preparaty wazelinowe mają własność żółcenia skóry, należy więc unikać środków, w których skład wchodzi ten tłuszcz.

Kobieta w świecie i w domu

DWUNASTY SEJM STOWARZYSZENIA POLEK W STANACH ZJEDN.

Dnia 12 sierpnia r. b. w Cleveland rozpoczął się XII-ty Sejm Stowarzyszenia Polek w Stanach Zjednoczonych. Otwarcie Sejmu poprzedziło solenne nabożeństwo w kościele św. Stanisława. Poczem wszystkie delegatki udały się na salę obrad, gdzie Marja Modzelewska, prezeska Stowarzyszenia dokonała otwarcia XII-go Sejmu. Po złożeniu mandatów przez delegatki i po odroczeniu pierwszej sesji odbyło się wspólne śniadanie, w którym oprócz delegatek Zarządu Centralnego, wzięli udział liczni goście. Obecny Zarząd Centralny stanowią panie: Marja Modzelewska, prezeska — Marta Domska, wiceprezeska — L. H. Dzieweczyńska, sekr. gen. — Marja Kwarciana, skarbniczka, Dyrektorki: Franciszka Sroczyńska, Franciszka Tesna, Marta Muszyńska, Angelina Pletta, Leokadja Szczęsna. Wieczorem tego dnia odbyła się specjalna uroczystość, w której programie były liczne przemówienia, część artystyczna i wreszcie zabawa taneczna. Następne dwa dni zostały całkowicie poświęcone sesjom.

TOWARZYSTWO KRZEWIENIA TWÓRCZOŚCI KOBIET POLSKICH W CHICAGO.

Rok zaledwie upłynął od czasu założenia w CHICAGO T-wa Krzewienia Twórczości Kobiet Polskich, powstałego z inicjatywy, bawiącej wówczas w Ameryce, Zofji Bergerowej, a rezultaty propagandy są już pokaźne. Nieznane dotąd w Ameryce utwory muzyczne naszych kompozytorek, wykonywane są tam coraz częściej na koncertach, wieczorach i w Radjo. Towarzystwo Twórczości Kobiet Polskich, urządza co miesiąc wieczory, na których są grane i śpiewane kompozycje Heleny Dora-bialskiej, Ireny Białkiewiczówny, Ryty Gnus, Anny Marji Klechniowskiej, Zofji Ossendowskiej, Zofji Wróblewskiej, Leokadji Myszyńskiej, Wołciechowskiej i innych. Oprócz utworów muzycznych czytane są i recytowane na tych wieczorach najnowsze utwory literackie naszych autorek dramatycznych, poetek i powieściopisarek. Ostatnio w maju, Chór Halka w Chicago z okazji 25-lecia swego istnienia urządził wielki koncert, na którym wykonano w pełnej inscenizacji Tryptyk muzyczny Anny Marji Klechniowskiej. Tryptyk, napisany na fortepian, śpiew i tańce plastyczne, doznał wielkiego powodzenia, a prasa amerykańska z zachwytem mówi o utalentowanej kompozytorce. Bardzo poczytna w Chicago gazeta codzienna B. Chicago Tribune, zamieściła na pierwszej stronie fotografie sceny plastycznej z bardzo — jak pisze owa gazeta — interesującego widowiska.

DOMY DLA KOBIET SAMOTNYCH.

Wobec licznych zapytań podajemy, że organizatorki Zrzeszenia im. Wandy Mal-

czewskiej można zastać tel. 8-90-94. — p. Jeziorańska godz. 8 rano i 6 wiecz. oraz p. Batogowska, tel. 6-57-79.

MIANO POLKI JEST ZASZCZYTEM.

Żona naczelnego redaktora „Slovaka“, Karola Sidora, p. Aniela Sidorowa, w odpowiedzi na twierdzenie K. A. Medveckiego, który w artykule, zamieszczonym w „Lidovych Novinach“, zaatakował jej męża, zarzucając mu, iż prowadzi politykę polonofilską, gdyż ożenił się z Polką i wiąza go z tego powodu materialne interesy z Polską, zamiściła w „Slovaku“ replikę, w której stwierdza, że nie jest Polką, lecz Słowaczką, urodzoną w Trstenej i wychowaną w Ružomberku i już od wczesnej młodości pracuje stale na polu narodowym. W obecnych warunkach, gdy jej mąż i wielu innych wybitniejszych Słowaków, prowadzą walkę o prawa narodu słowackiego, wymagając wielkich ofiar i poświęcenia, pragnęłaby być Polką, gdyż byłaby wtedy uczestniczką wielkich i wzniosłych tradycji kobiet polskich, które przy boku swych mężów, bojowników za wolność ojczyzny, same ponosiły nadludzkie ofiary i narażone były na liczne prześladowania i cierpienia. Kobietom słowackim brak tych tradycji, nie cierpiały one jeszcze ze swymi mężami i oddają się wyłącznie cichej pracy dla swej rodziny przy ognisku domowym. „Byłam w Polsce — kończy p. Sidorowa — czytam i tłumaczę książki polskie. Wiem, czego dokonała kobieta polska, jak skutecznie pomagała mężyzynom. Nie tylko jak prawdziwa bohaterka potrafiła odprowadzić swego męża na białe, smutne pola Sybiru, lecz również, w myśl jego idei wychowywała jego dzieci, aby te doprowadziły do końca dzieło narodowe, rozpoczęte przez ich ojca. Jestem Słowaczką, lecz służyć mi będzie za wzór polska żona i polska matka, abym potrafiła wszystko znieść, wszystko przecierpieć i wychować me dzieci na dobrych katolików i ofiarnych patriotów“.

ODZNACZENIE POLKI.

Prezeska Zarządu Warsz. Okr. i Oddz. P. C. K. p. Anna Roszkowska, odznaczona została komandorją lotewskiego Czerwonego Krzyża. Zaznaczyć należy, że zaszczytne to odznaczenie otrzymały tylko cztery kobiety, z których trzy polki pp. Hanna Hubicka senatorka, Anna Paszkowska sekretarz generalny Zarządu Głównego P. C. K. i p. Anna Roszkowska.

ZGON „FRAULEIN DOKTOR“.

Z jednego z sanatorjów w Zurichu nadeszła przed kilku dniami wiadomość, która z pewnością wywrzeć musiała głębokie wrażenie w niektórych kołach niemieckich. W sanatorjum tem zmarła mianowicie przebywająca w niem od lat 15-tu kobieta ok. 45-letnia, o nerwach starganych przeżyciami, o organizmie wyczerpanym i zrujnowanym narkotykami, figurująca na liście pacjentów szpitala jako Marja Anna Lesser. Nazwisko to, jest jak wiadomo, pseudonimem jednej z najslawniejszych kobiet szpiegów wywiadu niemieckiego.

Podobno prawdziwe nazwisko zmarłej niedawno pacjentki, która w kokainie i heroinie szukała zapomnienia jakiejś okropnej tragedji, rozkrwawiającej jej serce, brzmiało Marja Schragmüller. O jej pochodzeniu i przeszłości kursowały najbardziej nieprawdopodobne i fantastyczne wersje i plotki. Jedni utrzymywali, że jest ona wdową po młodym poruczniku gwardji niemieckiej, według innych nie była nigdy zamężną, lecz wyrobiła sobie popularność w dobrze znanej dzielnicy portowej Hamburga. Inni jeszcze widzieli w niej córkę pewnego generała niemieckiego, studentkę uniwersytetu w Monachjum. „Fräulein Doktor“ należała do niemieckiej liczby tych wybitnych szpiegów, którzy nie wpadli w zastawione na nich sieci nieprzyjacielskiego wywiadu. Wróciła po wojnie do ojczyzny, ale już wówczas była w mocy okropnego nałogu. W czasie swoich misyj szpiegowskich musiała kokainą podtrzymywać siły i nabyty w ten sposób nałóg nie wypuścił już ofiary ze swych szponów.

Od przeszło dwóch lat „Fräulein Doktor“ była już tylko ruiną ludzką, chodzącym trupem, który nigdy nie odzyskiwał przytomności. Może był to właśnie stan, którego najbardziej pragnęła, szukając zapomnienia...

Piękna, inteligentna, bardzo kulturalna i subtelna, o umyśle śmiałym, pełnym inicjatywy, odegrała „Fräulein Doktor“ podczas wojny olbrzymią rolę“.

Znając wyśmienicie język francuski jest jakby predestynowana do pełnienia służby na froncie zachodnim, kilkakrotnie przekracza granicę dla swych tajemniczych celów.

Miała pod swą komendą całą armję szpiegów, nad którą wykonywała najściślejszą kontrolę. Do jej podwładnych należeli między innymi Grek Koudoyanis i nieszczęsna tancerka holenderska, Mata Hari. „Fräulein Doktor“ nigdy nie dowierzała nikomu, i wrazie najmniejszego podejrzenia miała doskonały sposób pozbywania się tych, którzy utracili jej zaufanie: denuncjowała ich przed wywiadem francuskim, przyczem zawsze dostarczała niezbitych dowodów akcji szpiegowskiej jakiego skazanego na niechybną śmierć podwładnego.

Nikt nie wie, ile osób padło w ten sposób jej ofiarą. Może pamięć ich, wraz z innymi męczącymi ją wspomnieniami, pchnęły ją wreszcie w objęcia nałogu, który zawiódł ją do sanatorjum.

Koszty jej leczenia i utrzymania w tym kosztownym zakładzie regulowane były co miesiąc przekazem jednego z banków berlińskich. O leczeniu zresztą nie mogło być właściwie mowy, gdyż inna tajemnicza ręka dostarczała stałe pacjentce upragnionych narkotyków, kpiąc sobie z surowych przepisów zakładu i nadzoru lekarskiego.

Czy w ten sposób chciano jej umożliwić zapomnienie przeszłości, którego tak bardzo pragnęła, czy też może chciano przyspieszyć śmierć osoby, która napewno wiedziała więcej, niż to było pożądane — oto jeszcze jedna nierozwiązana zagadka, którą wzięła do grobu „Fräulein Doktor“.

PAPIEŻ BŁOGOSŁAWI NOWOŻEŃCÓW.

W swojej nowej rezydencji Castel Gandolfo Ojciec Święty przyjął wielką ilość nowożeńców, którzy przybyli automobilami na audjencję u Papieża.

Na zdjęciu widzimy licznie zgromadzone pary młodych małżonków, a po prawej i lewej stronie ogromnego wzrostu gwardzistów papieskich w charakterystycznych strojach gwardji szwajcarskiej.



TANIEC BRETANŃSKI NA CZEŚĆ MARJI STUART.

W rocznicę wylądowania Marji Stuart w porcie Roskoff w Bretanii (1558 rok) miejscowa ludność rybacka odtwarza moment powitania królowej, tańcząc na cześć „wylądowania królewskiego dziecka“.

CZTERY KOBIETY W RADZIE MIEJSKIEJ W WIEDNIU.

Wśród 64 radnych zasiadły w nowoobranej Radzie miejskiej w Wiedniu cztery kobiety. Radni zostali mianowani na zasadzie przedstawicielstwa zawodowych korporacji i podzieleni na osiem kategorii: gminy religijne; sztuka, nauka, szkoły i stowarzyszenia rodziców; przemysł, rzemiosła; handel i transport, rolnictwo, banki i instytucje kredytowe, zawody wolne; funkcjonariusze publiczni.

Udział w samorządzie kobiet, z których trzy są przedstawicielkami gmin religijnych, świadczy o tym, że dyktatura austriacka nie ma zamiaru zmniejszać praw politycznych kobiet.

NOWY REKORD WYSOKOŚCI... W TAŃCU.

W kalifornijskim mieście Venice na tak wysoko umieszczonej platformie rodzeństwo Bonnie i Buddy Darrow ubiegało się o pobicie rekordu tanecznego — 2.000 godzin. Platforma znajduje się na plaży, a jedna z girlsów, obserwujących zawody, przygrywała tańczącym na pianinie.



NIEMIECKIE NAUCZYCIELKI SPORTÓW I GIMNASTYKI WITAJĄ SZTAFETĘ BIEGACZY.

W końcu sierpnia przez Berlin przebiegały sztafety biegu do Saary, w których brało udział 500.000 zawodników. Większa ich część przebiegała Berlin nocą. Wskutek tego oczekujące na nich nauczycielki gimnastyki ujęły w ręce zapalone pochodnie i utworzyły malowniczą grupę powitalną na schodach starego muzeum w Berlinie.



WIANUSZEK PIĘKNOŚCI.

Co roku zjeżdżają się do Paryża królowe piękności wszystkich krajów w celu ostatecznych wyborów na Miss Europe. Od lewej do prawej: Miss Holandja, Rumunja, Niemcy, Włochy, Rosja, Syberja, Francja, Polska, Danja, Hiszpanja, Miss Atlantik, Belgja, Finlandja i Norwegja.

TRZYNASTOLENIA CHINKA, ANGIELSKĄ MISTRZYNIĄ TENNISA.

Mała Gen Hoafiny, 15-letnia Chinka, urodzona w Anglii, na zawodach tenisowych w Middleres zdobyła nagrodę. Na zdjęciu widzimy małą mistrzynię, pijącą ze zdobytego przez siebie pucharu.



Ogrodnictwo i hodowla

KILKA UWAG O SADZENIU DRZEW

Jesień jest najodpowiedniejszą porą sadzenia drzew i krzewów, wiosną jedynie powinno się sadzić brzoskwinie i morele. Drzewa z jesiennego sadzenia przyjmują się o wiele lepiej i wcześniej, na wiosnę rozpoczynają wegetację. Pamiętać należy, że na ziemi mokrej z małymi wyjątkami wszystkie drzewa źle rosną i że na takiej ziemi nie warto zakładać sadów handlowych.

Wielkim błędem, powszechnie spotykanym po naszych sadach jest zbyt gęste sadzenie drzew.

Minimalne odległości dla drzew są następujące:

Jabłonie pienne	9 — 10 m.
Jabłonie krzaczaste	5 — 6 m.
Grusze pienne	9 — 10 m.
Grusze krzaczaste	5 — 6 m.
Czereśnie pienne	9 — 10 m.
Czereśnie krzaczaste	5 — 6 m.
Wiśnie pienne	7 m.
Wiśnie krzaczaste	5 m.
Sliwy pienne	7 m.
Brzoskwinie krzac.	4 × 5 m.
Morele	4 × 5 m.
Orzechy włoskie	12 — 15 m.
Leszczyna	4 × 5 m.
Porzeczki	180 ctm. × 200 m.
Agresty	180 ctm. × 200 m.
Maliny	0.40 × 200 m.

Gdzie jakie drzewa sadzić.

Jabłonie udają się najlepiej w pożywnej ziemi gliniasto-piaszczystej, lub na lekkich glinkach z przepuszczalnym podłożem. Ponieważ jabłoni korzeni zbyt głęboko nie zapuszcza, nie wymaga ona ziemi zbyt głębokiej. Jeśli ma w glebie nadmiar wilgoci, łatwo rakowacieje i podlega różnym chorobom.

Grusze są od jabłoni znacznie wybredniejsze i potrzebują położenia ciepłego i osłoniętego. Najodpowiedniejszą dla nich jest ziemia gliniasto marglowa, lub gliniasta, zawierająca dostateczną ilość wapna. Wody zaskórnej zupełnie nie znoszą. Nadmiar wilgoci wywołuje jeszcze większy rozwój grzybka „Fusicladium” niż u jabłoni. Nawet t. zw. kuchenne odmiany gruszy udające się na ziemiach suchych i piaszczystych o podłożu kamienistym, a nigdy w miejscach wilgotnych. Szlachetne odmiany wielkoowocowe wymagają ziemi żyznej, głębokiej i dostatecznie wilgotnej. Sady handlowe, sadzone z samych tylko gruszy są w naszych warunkach bardzo



zawodne, gdyż gruszą jest bardzo wrażliwa na mrozy.

Czereśnie nadają się do chłodniejszego i wyższego położenia. Zadawalają się one jeszcze gorszą glebą, niż kuchenne odmiany gruszek i dobrze rosną nawet w dość jałowej z natury glebie piaszczystej. Najodpowiedniejsze dla nich jednak będą ziemie gliniasto-piaszczyste lub gliniasto marglowe, wapienne. Gdzie wapna brak, należy go koniecznie dodać przed sadzeniem czereśni w ilości 12 — 16 ctm. na 1 ha. Wody zaskórnej czereśnie nie znoszą.

Wiśnie potrzebują ciepłej, a przepuszczalnej glinki. Zwykłą wiśnię nadwiślańską można sadzić nawet na piaskach. Wiśnia ze wszystkich drzew znosi najlepiej suszę. Wody zaskórnej nie lubi, a potrzebuje dużo wapna.

Sliwki zwykle nadają się również w wysokich i zimnych położeniach i prawie we wszystkich rodzajach gleb, nawet w średnich ziemiach piaszczystych.

Natomiast *szlachetne sliwy*, jak *Renklody*, *Mirabelki* i t. p. wymagają położenia ciepłego i osłoniętego i dobrej, żyznej gleby. Najlepiej odpowiadają im mułkowate grunta napływowe, oraz ziemie próchniczne z domieszką piasku. Sliwy potrzebują ziem bogatych w wapno.

Węgierka udaje się w każdym położeniu i prawie na wszystkich ziemiach piaszczystych, o ile nie są one zbyt suche. Wilgotne położenie przy brzegach rowów, rzeczek i w bliskości większych zbiorników wody jak: stawy, jeziora i t. p. odpowiadają im najwięcej.

Orzechy włoskie wymagają ziemi niezbyt lekkiej, przepuszczalnej, zasobnej w wapno, i położenia przewiewnego. Sadząc orzechy, pamiętać należy, iż zapyłanie kwiatów żeńskich odbywa się prawidłowo w położeniu wilgotnym, a nie tam, gdzie są częste przymrozki. Orzechy włoskie powinny być sadzone grupami po 4 — 6 sztuk razem, aby się wzajemnie zapyłyły.

Brzoskwinie i *morele* wymagają położenia osłoniętego i ciepłego. Ziemię muszą mieć pulchną, suchą,

dosyć ciepłą, zasobną w wapno, pożywną lecz nietłustą. Najlepiej sadzić je przy ścianach południowych i wschodnich i rozpinać ich gałązki na szpalerach.

Bardzo ważnym błędem, który się potem mści przez cały ciąg życia drzewa, jest zbyt głębokie sadzenie.

Drzewa zbyt głęboko posadzone chorują, mało i późno rodzą. Przy sadzeniu pamiętać należy, iż ziemia i tak się trochę osiadzie. Przystępując do sadzenia nowych sadów, należy przede wszystkim ziemię na całym obszarze głęboko zorać pługiem z pogłębiaczem.

Doły kopimy możliwie jaknajwcześniej przed sadzeniem. Nie powinny one być zbyt głębokie. Wystarczy jeśli będą miały 80 ctm. głębokości, a jeśli podłoże jest nieprzepuszczalne, nawet tylko 60. Szerokość dołów zaś powinna wynosić przynajmniej 1 — 1.25 ctm.

Ażeby drzew nie sadzić za głęboko, należy położyć w poprzek dołków, wykopanych odpowiednio do korzeni, łatę, którą można przywiązać nawet do drzewa, co nas uchroni przy zasypywaniu i udeptaniu przed umieszczeniem drzewka zbyt głęboko.

Przed sadzeniem należy w dołku usypać kopczyk, który ułatwi prawidłowe rozłożenie korzeni, dając im położenie ukośne. Dopóki wszystkie korzenie nie są pokryte ziemią przynajmniej na 5 ctm. grubo, nie należy ziemi w dole udeptywać nogami, ażeby nie kaleczyć korzeni.

Ziemia koło korzeni musi być możliwie silnie obciśnięta, ażeby lepiej do nich przylegała, co bardzo ułatwia zakorzenienie się drzewa.

Wszystkie drzewa pienne muszą być po posadzeniu przywiązane zaraz do *palików*. Pale muszą być tak długie, aby sięgały na szerokość dłoni poniżej korony. Palik powinien być umieszczony po stronie zachodniej, lub zachodnio-południowej, gdyż z tej strony wieją najsilniejsze wiatry. Ostre brzegi górnej części pali należy zaokrąglić, aby nie obcierały pnia drzewa w razie poruszania tegoż przez wiatr. Wiązadło należy tak zakładać, by część jego znajdowała się między drzewem a palem, t. zn. wiązać w ósemkę.

Pamiętać należy, iż sady handlowe należy zakładać z kilku najwyższych wyborowych odmian, gdyż na większe partje zawsze łatwiej znaleźć kupca i otrzymać lepszą cenę.

Marja Dąbrowa.

Hiacenty

Kto chce mieć te kwiaty na Boże Narodzenie, powinien je zasadzić najpóźniej we wrześniu. Aby mieć kwitnące w ciągu całej zimy, należy je wysadzać partjami aż do grudnia.

Ojczyzną tego pięknego kwiatu jest Azja i południowo-wschodnia Europa. Jest to jeden z pierwszych kwiatów, które się człowiek zajął. Hodowla hiacentów znana już była w czasach starożytnych. Stary naród grecki hodował ich wiele i od nich też otrzymał swą nazwę. W greckiej mitologii zajmował hiacencem poczesne miejsce.

W nowszych czasach hiacencem obok tulipana zajął swego czasu pierwsze miejsce wśród kwiatów hodowlanych. W miarę postępu sztuki ogrodniczej, która coraz to więcej roślin sobie podporządkowuje i coraz to nowe odmiany wytwarza, znacznie hiacentów cokolwiek zmalało, ale mimo to zawsze pozostały one nieocenionymi roślinami, zwłaszcza do pędzenia.

Nie będę szczegółowo opisywała przyspieszonej hodowli tych roślin, bo to uczyniłam na łamach „Bluszczu” w roku ubiegłym, przypomnę tylko czytelnikom główne wytyczne.

Dla hiacentów odpowiednie są tylko stare, dobrze oczyszczone doniczki, jeśli używamy nowych, to te muszą być koniecznie w ciągu kilku dni moczone w wodzie.

Najodpowiedniejszą ziemią dla roślin cebulowych jest ziemia darniowa, pomieszana w równych częściach z gnojówką i liściową z przymieszką 1/4 gruboziarnistego piasku rzeczno-

Dreny muszą być zakładane duże, aby woda miała zawsze swobodny odpływ.

Zamiast doniczek można używać również np. pudełek od cygar, które, gdy już rośliny zakwitną, oklejać ozdobnym, grubym papierem.

W doniczki lub pudełka sadi się hiacenty w sposób następujący: napełnia się je do połowy ziemią w wyżej opisanym składzie, a potem sadi się w nie cebulki hiacentów; przysypujemy je ziemią tak, aby spiczasty koniec cebuli znalazł się przynajmniej 2—3 cm. pod powierzchnią. Aby się cebulki dobrze zakorzeniły, zakopuje się je na 8—10 tygodni w ziemię i to tak głęboko, aby doniczki czy pudełka na 10 cm. grubo były przysypane ziemią.

Aby ziemia w tym miejscu nie zamarzała, przykrywamy ją nawozem, liśćmi lub t. p. materiałem izolacyjnym.

Zakopywać można w ogródku, w piwnicy lub prosto na balkonie.

W tym wypadku wstawiamy rośliny do skrzynki i przysypujemy ziemią. Chodzi tu o to, aby na kilka tygodni znalazły się cebulki w ciemnym a chłodnym miejscu. Można je również umieścić w chłodnej spiżarni, gdzieś w ciemnym kącie, nakryte kapeluszami z grubego ciemnego papieru dla ochrony przed światłem.

Tak przykryte pozostają cebulki tak długo aż wytworzą się silne, grube i na 10 cm. długie kielki. Wtedy zabiera się je do pokoju o temperaturze nie wyższej, niż 12° C. Pędy cebulek branych do pędzenia przed Nowym Rokiem byłyby zbyt krótkie, gdybyśmy nie postarali się o wydłużenie ich. Aby to osiągnąć, należy okryć wierzch doniczki jakimś szczelnie do ziemi przylegającym nieprzezroczystym naczyniem, wysokości kilkunastu centymetrów, np. pustą doniczką, której otwór zatknięto choćby bibułką papierową. Po dwóch tygodniach, gdy pęd kwiatowy podrośł już należy do 10—12 cm., usuwamy pokrycie i przyzwyczajamy roślinę powoli do światła, stawiając ją przy końcu hodowli na słonecznym oknie.

W ciągu całego okresu hodowlanego, hiacenty potrzebują dużych ilości wilgoci, to też starannego podlewania zaniedbywać nie należy.

Ostatnimi czasy wchodzi bardzo w użycie hodowla hiacentów w słoikach napełnionych czystą wodą.

Najlepsze do tego celu są słoiki, składające się z dwóch części, dostać je można w sklepach ze szkłem i porcelaną. Do tego sposobu hodowli używać należy największych i najtwardszych cebul i lepiej z odmian pojedynczych, gdyż te są łatwiejsze w hodowli.

Hodowla hiacentów nie jest wcale tak łatwa, jakby się to wydawać mogło. Najodpowiedniejszym czasem do pędzenia jest okres od września do grudnia.

Gdyby woda w słoikach zaczynała mętnieć, zdradzać nieprzyjemny zapach i t. p. oznaki zepsucia wykazy-

wać, to w takim wypadku trzeba cebulkę ostrożnie wyjąć, zepsutą wodę zamienić na świeżą, a następnie włożyć korzonki bardzo delikatnie, aby ich nie uszkodzić, zpowrotem do słoja.

Najlepsza będzie do napełniania słoików czysta woda deszczowa o pokojowej temperaturze. Aby zapobiec psuciu się, należy do każdego słoika dodać szczyptę soli, kawałek węgla drzewnego lub na palec grubą warstwę drobnieutękiego żwirku rzeczno-

Do tak przygotowanych słoików w górny, miseczkowaty otwór wkładamy cebulkę, wystrzegając się jej zamoczenia.

Pomiędzy wodą a spodnią częścią cebuli powinna się znajdować wolna płaszczyzna powietrza, której warstwa nie powinna jednak przenosić 1 milimetra.

Stykanie się wody z cebulą lub też polanie jej wodą, może być powodem gnicia, zwłaszcza gdy cebula była gdzieś zraniona.

Po umieszczeniu cebul w słoikach ustawiamy je w ciemnym pokoju, którego temperatura nie przenosi 10° C., i tam stać powinny, dopóki korzenie nie wypełnią całego słoika a pęd kwiatowy nie podrośnie do wysokości 15 cm.

Jeśli nie rozporządząmy chłodnym miejscem, możemy słoiki wstawić między okna i ponakrywać je tutkami. Uważać jednak trzeba, aby ich mróz nie chwycił i w czasie wielkich mrozów wstawiać je do pokoju.

W miarę wyparowywania wody w słoikach dolewamy takowej, bacznie, aby dolewana miała taką samą temperaturę.

Gdy korzonki osiągną dna słoika, zdejmujemy przykrycie i wnosimy je do miernie ogrzanego pokoju, stopniowo przyzwyczajając do światła. Przy końcu pędzenia ustawiamy je na słonecznym oknie.

Cebulek, już użytych do pędzenia, drugi raz do tego celu używać nie należy, bo rezultaty nie będą dobre.



Natomiast doskonale nadawać się one będą do hodowli gruntowej. W tym celu wycinamy kwiatostany i utrzymujemy rośliny wilgotno, dopóki liście nie zaczną żółknąć, do słoików nie dolewamy wody, pozwalając parować.

Gdy liście żółkną, zaprzestajemy podlewania, a wodę ze słoików wylewamy i trzymamy cebulę gdzieś w spokojnym miejscu aż do lipca.

Gdy liście i ziemia całkiem obeschły, wyjmujemy cebule z ziemi, oczyścimy je, wystrzegając się obrywania łusek i układamy je w trocinach, lub suchym piasku gdzieś na strychu lub t. p., zabezpieczywszy przed myszami.

Marja Dąbrowa.



Kury się pierzą

Tak już natura urządziła, że na zimę każde stworzenie otrzymuje gęstsze pokrycie skóry, aby mu mrozy zbyt nie dokuczyły.

I tak zwierzęta porośle szerścią, lenieją, a ptaki się pierzą.

Jest to zupełnie normalną funkcją natury, ale ponieważ jest to okres przejściowy i powodujący wyczerpanie organizmu, który musi czerpać wiele składników na budowę nowego włosia czy pierza, dlatego w tym czasie zwierzęta i ptaki są osłabione.

Na ptakach okres pierzenia odbija się szczególnie niekorzystnie i w tym czasie przedstawiają one fatalny widok. Wyglądają jak podskubane, bo część starych piór wypadła, a nowe jeszcze nie wyrosły, poruszają się leniwie i siedzą osowiałe, sprawiając wrażenie chorych.

Rzeczą hodowcy jest tak kury pielęgnować, aby okres pierzenia, podczas którego są szczególnie podatne wszelkim chorobom, możliwie skrócić i tak przyspieszyć, aby nastanie silniejszych chłódów mogły witać w zupełnie ukończonych nowych szatach.

Sprawę tę odpowiednią pielęgnacją i żywieniem można dowolnie regulować, kury zostawione same sobie, zwłaszcza przy skąpem żywieniu do zimy się nie wypierzą, co skolei musi się fatalnie odbić na ich całorocznej użyteczności.

Przedewszystkiem trzeba sobie jasno uświadomić, że kura z powietrza piór nie tworzy, tak samo, jak krowa mleka z powietrza nie czerpie. Organizm kury jest tylko jakby fabryką, która dostarczony jej surowiec zamienia na siły żywotne, jaja czy pióra.

W okresie pierzenia trzeba tak dawki pokarmowe normować, aby znalazły się w nich składniki, z których organizm kury będzie mógł prędko nowe upierzenie wytworzyć.

Należy więc oprócz paszy t. zw. bytowej dawać im jeszcze dodatek specjalnie na wypierzenie się.

Do budowy piór potrzebuje kura różnych wysokowartościowych składników odżywczych i mineralnych, dlatego też należy ograniczyć zadawanie karmy miękkiej i zastąpić ją częściowo paszą treściwą. Specjalnie sprzyja szybkiemu przebiegowi okresu pierzenia dodatek ziarn oleistych.

W czasie pierzenia się, każda sztuka powinna dostawać, jako dodatek ekstra 5 — 10 gr. nasion oleistych jak: słonecznik, konopie, siemie lniane i t. p.

Prócz tego dobrze jest dodawać 10 — 20 gr. śrutowanej kukurydzy. Jedno i drugie dodane do normalnej paszy.

W okresie pierzenia się potrzebują kury koniecznie pewnego dostatku siarki. Te im dajemy w postaci kwiatu siarkowego w proszku.

Dodaje się siarkę w ilości czubatej łyżeczki od herbaty na każde 25 dziennie. Siarkę najlepiej mieszać z karmą miękką.

Dodatek witamin w postaci zielenin jest niezbędny dla kur w okresie pierzenia, jak zresztą w ciągu całego roku. Kury na wolnych wybiegach mają ich poddostatkem, ale kury, które muszą się zadawać ciasną przestrzenią, muszą różne zieleniny stale dostawać.

Karmą, zawierającą sporo siar-

ki, tego materiału, koniecznego do rozwoju piór, jest kapusta. To też od początku jesieni w każdym kurniku powinna być zawieszona główka kapusty. Wieszając ją trzeba niezbyt wysoko, ale tak aby kura do dziobnięcia musiała cokolwiek podskoczyć. Ma to na celu pobudzenie kur do ruchu, do którego w okresie pierzenia się ptaki nie są zbyt skore.

W okresie pierzenia się organizm kury jest specjalnie podatny dla różnych chorób, dlatego też trzeba je otoczyć serdeczną opieką. Trzymać je trzeba sucho i ciepło i w czasie zimnych, dżdżystych dni nie wypuszczać ich wogóle, nie zaniedbując jednak stałego wietrzenia kurnika, gdyż słońce i świeże powietrze to najlepsi sprzymierzeńcy hodowcy. Pasożytom, nękającym często nasze ptactwo w okropny sposób, należy wypowiedzieć energiczną walkę przez utrzymywanie drobiazgowej czystości i dostarczenie kurom kąpieli, którą te się chętnie raczą.

Kąpielisko najlepiej założyć jedno w samym kurniku, a drugie na wybiegu. Kury, jak wiadomo, kąpią się w suchym piasku, dlatego też należy nasypać wzdłuż ściany warstwę suchego piasku pomieszanego w równych częściach z drobno przesianym popiołem drzewnym i miałem wapiennym. Warstwa taka powinna mieć przynajmniej 10 ctm. grubości i zabierać przestrzeń 1 m². Aby jej kury nie rozgrzebywały, otoczyć ją trzeba deskami na 15 ctm wysokości.

Oczywiście kurnik oraz wszystkie sprzęty drobiarskie powinny być utrzymane w wielkiej czystości.

Marja Dąbrowa.

ODPOWIEDZI DZIAŁU OGRODNICZO - HODOWLANEGO

P. I. Z. prenumeratorka z prowincji.

Różę Jerychońską będą posiadały na składzie prawdopodobnie wszystkie większe zakłady ogrodnicze.

P. Prenumeratorka Zofja.

Marzena była słowiańską boginią zimy i śmierci, którą w dniu kalendarzowej wiosny topiono. Prawdopodobnie znajduje więc Sz. Pani to imię w kalendarzu słowiańskim. „Marzenka“ stanowi czeskie zdrobnienie od Marji. Ja w papierach mam wszędzie „Marja - Marzena“ i imieniny obchodzę na Marję.

M. Saryusz-Stokowska.

Dom i gospodarstwo

SERY

Twaróg i świeży biały ser krowi są pokarmami o wysokiej wartości odżywczej. Przygotowane z pełnego tłustego mleka zawierają:

wody	43,06%
białkowiach	35,59%
tłuszczu	12,45%
cukru	4,22%
soli	4,68%

Wartość odżywczą twarogu świeżego, i świeżego sera krowiego pełnotłustego podnosi fakt, że białko znajdujące się w serze jest „czyste” (to znaczy wolne od zanieczyszczeń spotykanych w białku mięsnym), łatwo zatem zrozumieć, jak cenny jest to pokarm dla organizmu ludzkiego. Podstawą twarogu i sera białego, krowiego jest zsiadłe mleko. Od wartości tego mleka, prawidłowego zakwaszenia go i ogrzania zależy dobroć twarogu, a zatem i dobroć sera.

Mleko przeznaczone na sery powinno się zlewać w słoje kamienne i zakwaszać w sposób omawiany już przezemnie na łamach „Bluszczu”.

Z doskonale ścietego mleka należy zebrać śmietanę, lub też wymieszać ją z mlekiem, jeżeli chcemy mieć ser tłusty, tak zwany „śmietanowy”.

Twaróg z mleka wydzielamy dwójakim sposobem: zapomocą pokrajania masy nożem drewnianym, przez co serwatka oddziela się, spływa na wierzch, a twaróg osiada na dnie naczynia, albo też zapomocą ogrzewania mleka w temperaturze nie wyższej ponad 45 st. C.

Mleko „strącone” (sposób I), lub „ogrzone” (sposób II) odsączamy z serwatki, zlewając w worek z płótna samodzielnego i zawieszając worek w ten sposób, aby serwatka mogła swobodnie ściekać do podstawionego naczynia. Po odsączeniu serwatki wiążemy worek mocnym sznurkiem lnianym ponad masą twarogową, układamy go na desce, przykrywamy drugą deseczką i przyciskamy równomiernie ciężarem, najczęściej kamieniem. W ten sposób odbywa się prasowanie sera i nadawanie mu charakterystycznego kształtu. Ulepszonym sposobem jest odciskanie serów w specjalnej prasie regulowanej śrubą dowolnie przykręcaną.

Sery śmietankowe przyrządzamy, jak już wyżej wspomniałam, nie zbierając wierzchniej warstwy śmietany z mleka zsiadłego. Przed ogrzaniem mleka należy wymieszać je ze śmietaną, a chcąc mieć ser delikatny, wyborowy, dodać jeszcze dowolną ilość śmietany do mleka. W ten sposób osiągniemy wyśmienity ser deserowy.

Wydzielanie twarogu z mleka zsiadłego zapomocą *strącania*, a nie ogrzewania, nie wpływa na zmianę dalszego postępowania.

Chcąc otrzymać *twaróg*, postępujemy w sposób identyczny, jak przy wyrobie białych serów, zadawalniamy się jednak odsączeniem twarogu z serwatki, a po osączeniu wyrzucamy go z worka, nie prasując i zużywamy „na świeżo”, rozcierając na misce wałkiem drewnianym i doprawiając śmietaną, solą, kminkiem, szczypiorkiem i t. p.

Twaróg zarówno jako danie samostatne, jako też i podstawa rozmaitych dań słonych, lub deserów, powinien być używany w stanie nie-nagannej świeżości, inaczej traci wykwintny smak.

Natomiast sery krowie zyskują na obsuszeniu, któremu sprzyja przewiew. Sery do obsuszania układa się na desce i stawia w przewiewie, najlepiej na otwartym powietrzu. Można je przed obsuszaniem natrzeć lekko solą stołową, a wtedy nabiorą wyraźniejszego, lekko zaostrzonego smaku. Obsuszanie trwa kilka dni, w czasie których ser twardnieje i daje się krajać na cieniutkie plasterki.

Jednym z przysmaków, znajdującym wielu wyznawców, są gomółki. Gomółki przyrządza się z twarogu rozartego z kwaśną śmietaną na jednolitą, gładką masę. Lepiej jest nawet przefasować twaróg przez sito, a dopiero po przefasowaniu dodać śmietany i rozetrzeć z nią, sypiąc soli do smaku i kminku dla nadania im ostrości i aromatu. Z tak przyrządzonego twarogu formuje się gomółki o podłużnym, albo okrągłym kształcie i obsusza je ułożone na deszczulce, którą umieszczamy na świeżem powietrzu, w przewiewie.

Ostre gomółki przyrządza się w ten sam sposób, dodając jednak dla smaku oprócz kminku jeszcze i suchego tartego sera szwajcarskiego, albo parmezanu.

Wyśmienity ser deserowy przygotowany na podstawie wyborowego, tłustego, świeżego twarogu, lub świeżego białego sera, przyrządza się w sposób następujący: przefasować przez gęste sito pół kilograma świeżego, doskonale osączonego z serwatki twarogu, dodać ćwierć kilograma wyborowego masła deserowego i szklanke kremowej słodkiej śmietanki. Rozetrzeć tę masę wałkiem drewnianym, włożyć w formę, albo prosto uformować z ręcznie na okrągłym szklanym talerzu, postawić w lodowni, albo w bardzo zimnej piwnicy na kilka godzin. Wydając na stół, trzeba obetrzeć formę ścierką umoczoną w ukropie, wyjąć ser na okrągły talerz szklany. Poda-

wać wprost z lodowni lub piwnicy, aby nie stracił niskiej temperatury.

Sery z mleka słodkiego przyrządza się na podstawie podpuszczki, którą otrzymujemy w sposób następujący: świeży, lub wysuszony żółtek cielęcy (starannie wymyty), namoczyć na noc w serwatce. Trzymać w temperaturze 30 st. C. Po upływie tego czasu „podpuszczka” jest już gotowa do użycia. Dodaje się ją w ilości 1/4 szklanki na każde 4 litry mleka, lejąc w mleko o łagodnej, letniej temperaturze.

Sposób przyrządzania sera na podpuszczce jest następujący: wlać podpuszczkę, przyrządzoną podług powyższych wskazań w letnie, tłuste, niezbierane (pełne) mleko, wymieszać. Po wymieszaniu z podpuszczką trzymać mleko pół godziny w temperaturze 20 st. C., jeżeli chcemy mieć ser miękki, 36 st. C., jeżeli ser ma być twardy. Po upływie wskazanego czasu, mleko powinno się ściąć dostatecznie, wtedy zdejmujemy je z ognia, solimy do smaku, mieszamy i wlewamy na muślin, przywiązany do czterech nóg krzesła odwróconego nogami do góry. Gdy serwatka ścieknie, wkłada się ser, razem z muślinem do formy i przyciska ciężarem. W formie powinien leżeć 3 dni. Po wyjęciu z formy kładzie się ser na deseczkę i ustawia na przeciąg kilku dni w ciepłym, przewiewnym miejscu, aby obsechl po wierzchu.

Racjonalne odżywianie, dbałe o skalę odżywczości i podawanych pokarmów zaleca tak zwany ser dietetyczny, przyrządzany podług przepisu dr. Tarnawskiego. Pełne, tłuste mleko podgrzać do 38 st. C. Dodać soku cytrynowego w ilości: 2 łyżki soku na 1 litr mleka. Postawić w garnku kamiennym w normalnej temperaturze ogrzanej kuchni (nie na blasze!), a gdy się mleko zetnie, ogrzać w temperaturze 55 st. C., oddzielając w ten sposób ser od serwatki. Odcedzić serwatke przez muślin, włożyć twarózek do płóciennego worczka, wygnieść pod prasą. Jest to łatwy i prędki sposób przyrządzania delikatnego sera z niewielkiej ilości mleka.

Serwatka, jaka pozostaje przy wyrobie takiego sera ma właściwości lecznicze. Znamy ją pod nazwą „żętycy” i stosujemy przy chorobach piersiowych. Łagodna w smaku, słodkawa, łatwostrawna, działa rozwalniająco. W serwatce, o której mowa, pozostaje dużo odżywczych i pożytecznych składników mleka, to też nie należy jej marnować, a używać jako przyprawy, albo przy pieczeniu chleba.

Wyborny, łatwy i prędko jest też ser deserowy zwany „nieboszczyk”, przypomina on delikatnym, wykwintnym smakiem najwytworniejsze serki kremowe podawane na deser we Francji. Przyrządza się go w sposób następujący:

Gęstą, młodą śmietaną o wysokiej zawartości tłuszczu, wlać w płócienny gałganek, albo serwetę. Związać ciasno sznurkiem, zawinąć w płócienną ścierkę, zakopać w ogrodzie, albo piwnicy, wpuszczając w ziemię na 50 cm. głęboko. Przysypać ziemią, ugnieść ją. Po upływie 24 godzin wyjąć ser, ostrożnie odwinąć, aby się ziemia do niego nie dostała, podawać lekko osolony do chleba, albo też z cukrem mialkim, czy konfiturami, jako deser. Serów takich nie należy robić w większych ilościach, gdyż szybko tracą świeżość, i zmieniają smak. Właściwie jest to ser jednodniowy, to znaczy, że powinien być spożyty w pierwszym dniu po wyjęciu z ziemi. *Wanda Dobrzańska*

Przepisy gospodarskie

Gęsina

Najsmaczniejsze gęsi są półroczne, nietuczone, tylko dobrze żywione, mięsiste.

Bijąc gęsi w domu, spuszcza krew na osolony ocet i używamy go na zupe, zwaną czerniną. Gęś po zabiciu trzeba oskubać, oczyścić starannie, opalić nad płomieniem ze spirytusu i wytrzeć całą po opaleniu grubymi otrębami pszennymi. Odjąć: głowę z szyją, skrzydła i uciąć łapy do kolan, wyjąć wnętrzności, oddzielić żołądek i wątróbkę, od której trzeba ostrożnie odjąć woreczek żółciowy, uważając, aby się żółć nie rozlała. Gęś wymyć w kilku wodach, starannie osuszyć ściereczką, ułożyć na półmisku i wynieść na 2 do 3 dni do zimnej piwnicy.

Przed użyciem powtórnie wymyć, nasolić. W soli powinna leżeć około dwóch godzin.

Czernina. Zabijając gęś, trzeba spuścić krew do kamiennego garnuszka, w którym powinno się znajdować trochę octu przegotowanego z solą i wystudzonego.

Ugotować esencjonalny smak na dróbkach gęsiach, dodając sporo włoszczyzny, cebuli i kawałek buljonu. Gotowy smak precedzić, włożyć w niego kilkanaście pięknych śliwek suszonych, które trzeba przedtem sparzyć wrzątkiem i kilka gruszek suszonych, czysto wymytych. Gdy owoce miękkie, odstawić smak, niech przestygnie. W chłodny wlać krew, rozbić ją ze smakiem kopystką, albo trzepaczką, doprawić octem i cukrem, zaprawić trochę mąki przesmażonej z masłem i wszystko to razem jeszcze raz zagotować. Na wydaniu włożyć do zupy ugotowane, przelane wrzącą wodą i osączone łazanki, oraz dróbka, na których się zupa gotowała.

Gęś pikantna. Przygotować gęś, jak powyżej. W czasie pieczenia, gdy sporo tłuszczu już się wytopi, dodać do niego 2 do 3 łyżek musztardy wymieszanej z ostrym sosem (Caban, albo pomidorowy). Wymieszać taką zaprawę z tłuszczem i po-

lewać nią gęś w czasie pieczenia. Wyjąć z sosu, potranżerować, sos podać oddzielnie w sosjerce. Powinien być bardzo gorący. Oddzielnie podać salatek z czerwonej kapusty, albo salatek zieloną.

Gęś na zimno w galarecie. Młodą mięsistą, nietłustą (nietuczoną) gęś oprawić, powiesić w chłodzie na dwa dni, aby skruszała. Wymyć w kilku wodach, osączyć, nasolić. Włożyć gęś do głębokiego rondla, albo do wanienki od gotowania ryb, zalać winem białym, rozebranem wodą w stosunku: jedna szklanka wina, na 2 szklanki wody. Dodać włoszczyzny, cebuli, trochę korzeni i kawałek, albo łyżkę mocnego buljonu. Gotować pod przykryciem, obracając dosyć często, aby się równo ugotowała. Smaku nie powinno być dużo, gdyż chodzi o to, aby był bardzo esencjonalny.

Gdy gęś już jest miękka, wyjąć ją ze smaku, smak precedzić przez bardzo gęste sito, sklarować białkami rozprowadzonymi zimną wodą, biorąc pół szklanki wody i kilka białek. Galaretę klaruje się, wlewając w precedzony smak białka z wodą i zagotowując raz jeden, poczem należy zestawić rondel ze smakiem z ognia i co najmniej pół godziny pozostawić smak w spokoju, aby się doskonale ustąpił i znów precedzić przez bardzo gęste sito, albo płótno.

Do tak przyrządzonego smaku trzeba dodać białej żelatyny w stosunku 2 dkg. na 1 litr smaku. Żelatynę namoczyć w obfitej zimnej wodzie, gdy zwioteżeje, odcisnąć i rozprowadzić niewielką ilością gorącego smaku.

Piersi od gęsi zdjąć ostrożnie z kości, resztę podzielić w zręczne kawałki, a piersi potranżerować w ładne plastry. Wszystko to ułożyć zręcznie na półmisku, pociągnąć po wierzchu krzepnącą galaretę, wynieść na chłód, aby galareta stężała. Resztę smaku zaprawionego żelatyną pozlewać w małeńkie ozdobne foremekki, postawić w chłodzie.

Zastudzoną gęś przybrać małemi galaretkami, listkami zielonej salaty i układanymi na nich plasterkami pomidorów. Oddzielnie podać sos tatarski, albo Cumberland.

Gęsia szyja nadziewana farszem paszletowym. Do faszerowania używa się szyję z dużej, tłustej gęsi, zdejmując ostrożnie skórę z szyi, której nie można uszkodzić nożem.

Farsz przygotowuje się w następujący sposób:

Posiekać drobno gęsią wątróbkę, przefasować ją przez sito, przepuścić dwukrotnie przez maszynkę 25 dkg. cielęciny i 20 dkg. młodej, niesolonej słoniny. Utrzeć na śmietaną czubatą łyżkę masła, wbijając po jednym 5 żółtka, dodać jedną bułeczkę otartą ze skórki, namoczoną w mleku i doskonale odcisniętą, wymieszać i wyrobić to wszystko razem, dodając do smaku: soli, pieprzu białego i kilka obgotowanych w wodzie z masłem i sokiem cytrynowym pieczarek krajanych w talarki. Do gotowego farszu dodać słoniny krajanej w drobniutką kosteczkę.

Napełnić farszem skórę z szyi, zaszyć ją na końcach nitką białej bawełny, włożyć

w krótki smak nagotowany na włoszczyźnie, buljonie i korzeniach. Gotować na parze godzinę i kwadrans. Przed włożeniem szyi do smaku trzeba ją lekko w paru miejscach ponakuwać, aby nie pękła w gotowaniu.

Ugotowaną szyję wyjąć ze smaku, zwinąć w czyste płótno, lekko przycisnąć deseczką, aby się w czasie studzenia spłaszczyła. Podaje się pokrajaną w talarki z sosem tatarskim, albo remoulade.

PLACEK Z SEREM

(na specjalne żądanie).

Proporcja na ciasto: 20 dkg. mąki pszennej, 12 i 1/2 dkg. masła, 5 dkg. cukru pudru, 2 żółtka.

Proporcja na masę serową: 20 dkg. masła deserowego, 20 dkg. cukru pudru, 8 jajek, trochę sproszkowanej wanilii, 5 dkg. skórki pomarańczowej, osmażonej w cukrze, 20 dkg. sera białego.

Upiec blat, albo krąg z kruchego ciasta, nie rumieniąc go zbyt. Masło utrzeć na śmietaną, wbijając do niego żółtka. W czasie ucierania dodawać cukier puder, ser utarty na tarce i osiany przez rzadkie sito.

Ucierać masę około pół godziny. Na samym końcu dodać wanilję, drobniutko pokrajaną skórkę pomarańczową. Gdy masa gotowa, ubić sztywną pianę z pozostałych białek, lekko wymieszać z masą serową, rozprostować ją równo i grubo na kruchem cieście, posypać po wierzchu pudrem z wanilją, wstawić do gorącego pieca na pół godziny. Po wyjęciu z pieca i przestudzeniu pociągnąć lukrem pomadkowym, doprawionym do smaku marasci-
nem, albo sokiem pomarańczowym. Na sernik trzeba używać sera tłustego, obsuszonego i niesolonego.

Placek z serem inaczej. Proporcja: 1 kg. sera, 18 jajek, 25 dkg. masła, 10 dkg. mąki, 15 dkg. masła sklarowanego, 15 dkg. rodzynków sultańskich, 15 dkg. rodzynków korynckich, 5 dkg. skórki pomarańczowej, 1 świeża pomarańczę.

Proporcja na ciasto: 25 dkg. mąki pszennej, 15 dkg. masła, 6 dkg. cukru pudru, 5 żółtka, szczypta soli.

Odpiec cienki, kruchy blat w formie, wysokości 10 cm.

Ugotować całą pomarańczę zupełnie na miękko, przetrzeć ją przez gęste sito na dużą miskę kamienną. Dodać ser, utarty na tarce i osiany przez rzadkie sito, żółtka, cukier puder, wanilję. Wstawić naczynie z temi dodatkami do rondla z gorącą wodą i ubijać trzepaczką pół godziny. Następnie wsypać mąkę, wymieszać, wlać masło sklarowane, dodać rodzynki i skórkę pomarańczową, znów wymieszać, wreszcie dodać sztywno ubitą pianę z białek, lekko wymieszać. Wlać tę masę na blat z kruchego ciasta, dając jej pod wierzch, ale niezupełnie pełno. Piec w średnim piecu półtorej godziny. *Melba.*

Wszystkie Panie, które szukają zbytu na pierwszorzędne produkty wiejskie, przetwory i owoce, są proszone o porozumienie się listownie pod adresem: Wanda Dobrzańska — Redakcja Bluszczu Solec 87, Warszawa.



*Strojne futro z tlenionych
kasztek z kołnierzem z lisa.*

Felds

*Palto z ciemnej wełny z fantazyjnym
kołnierzem futrzanym,*



*Feldscharek
Wian I.*

122 B. Palto z jasnej wełny przybrane kretami.
 123 B. Palto wełniane ze stojącym kołnierzem.



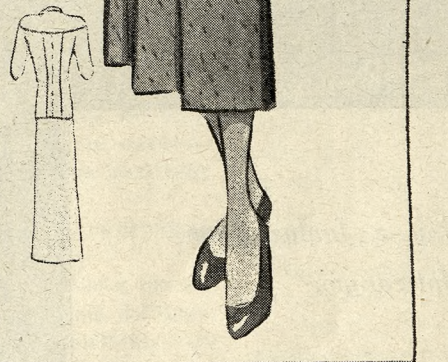
122 B.



125 B.

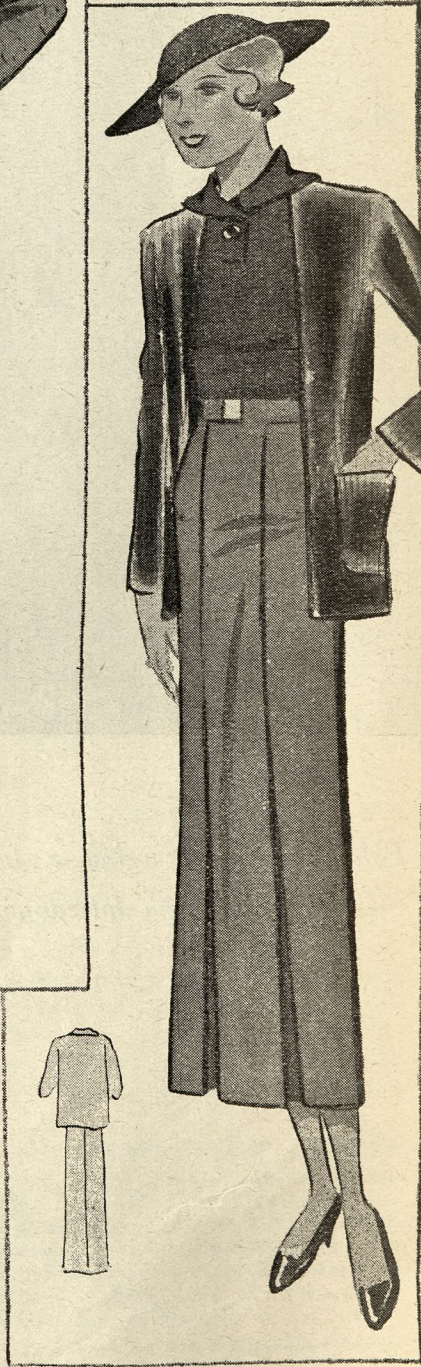


123 B.



124 B.

124. Kostjum z wełny przerabianej w supelki.
 125 B. Angielska spódnica i bluzka i żakiecik z imitacji futra.



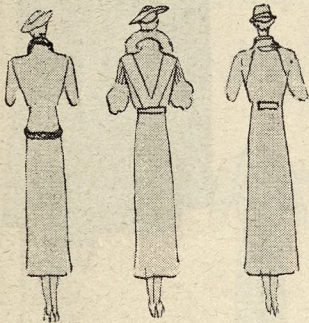
126 B.



126 B. Kostjum obsyty paskiem karakulón.

127 B. Palto z futrzanym kołnierzem spięte szerokim paskiem.

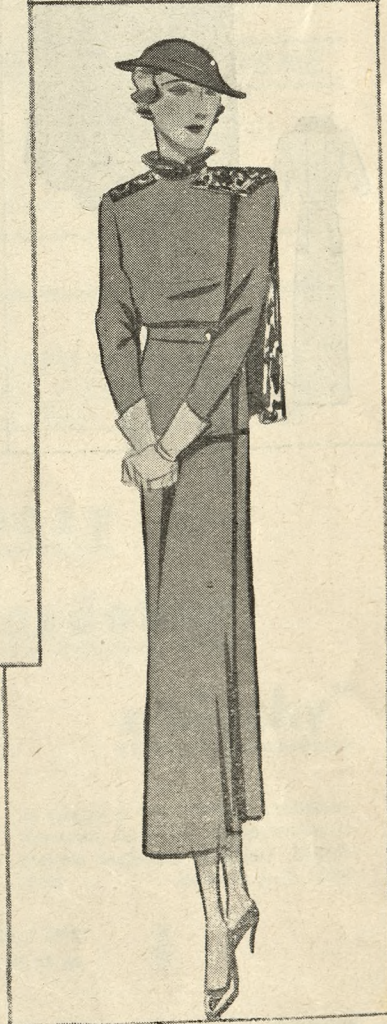
129 B.



127 B.

128 B.

128 B. Palto z ciemnej wełny z fantazyjną kłapą.
 129 B. Pódlugi żakiet i kamizelka z pluszu imitującego futro.
 130 B. Fantazyjny kostjum z pelerynką z lekkiego futra lub pluszu.



130 B.



131 iB.

132 B.

133 B.

134 B.

131 B. Palto przybrane bogato kaszlankami.

132 B. Palto przybrane strzyżonemi małpami.

133 B. Palto z kołnierzem z lisa.

134 B. Palto z fantazyjnemi klapami z futra krótko strzyżonego np. z bibretów.

„Moja Krawcowa”

Wytwórnia form bibułkowych

Tow. Wydawn. „Bluszcz”

posiada na składzie formy bibułkowe
wszystkich modeli zaopatrzonych nume-
rem i literą podawanych w „Bluszczu”
i w „Kobiecie w świecie i w domu”

Dobra forma bibułkowa jest niewątpliwie podstawą każdej eleganckiej sukni, jeśli pani tę suknię szyje sama, lub przy pomocy domowej krawcowej, należy więc stanowczo przed skrojeniem sukni, palta czy kostjumy zamówić formę bibułkową. Zrobić to trzeba w następujący sposób: po wybraniu modelu porównać swoją miarę z jedną z podanych wielkości.

wielkość I gors (połowa) 44 cm., biodra 50 cm.

wielkość II gors (połowa) 48 cm., biodra 52 cm.

wielkość III gors (połowa) 56 cm., biodra 60 cm.

i na zwykłej karcie pocztowej wypisać numer i literę oraz jego wielkość.
ceny form bibułkowych są następujące:

kategoria I: suknie, palta, kostjumy, szlafroki, piżamy — zł. 1.50

kategoria II: spódnice, bluzki, bielizna, formy dzieciinne — zł. 1.—

Przesyłka pocztowa 30 gr.

Równocześnie z zamówieniem trzeba przesłać należność przekazem pocztowym lub na konto P. K. O. 170. Forma zostanie wysłana natychmiast po otrzymaniu należności. Zamawiającym za pobraniem pocztowym dolicza się koszty przesyłki w sumie 1 zł. 35 gr.

UWAGA: Wytwórnia „Moja krawcowa” podejmuje się również wykonania form bibułkowych do dostarczonych modeli z innych pism w cenie 2 zł. 50 gr. za formę kateg. I i 2 zł. za kateg. II.

Adres Wytwórni: „MOJA KRAWCOWA”

Warszawa, Ś-to Krzyska 17

*Wetny
i Włóczki*



*są najlepsze
i najtaniejsze*

MEBLE gwarantować może tylko
własna wytwórnia

Stołowy 14 sztuk 450. Sypialnia 10 sztuk 440. Gabinety 460. Salony mahoń 10 sztuk 220. Złocony orzechowy, fotele futurystyczne, tapczany higieniczne 85. Otomany 120. Stoły rozsuwane 50. Krzesła wyścielane 15, oraz najróżnorodniejsze sztuki.

OLKOWSKI Nowy Świat 12, tel. 9-10-93
= Firma chrześcijańska =

OGŁOSZENIA DROBNE

Dr Michałek-Grodzki
Chirurg-Plastyk

OPERACJE KOSMETYCZNE
Złota 3 (lecznica), Warszawa, godz. 1-2 i 5-7

Najmilszym przyjacielem jest dobra książka
Największą ozdobą każdej biblioteki jest pięknie wydana książka
Najdostępniejszą rozrywką jest tania książka

Dobre, piękne i tanie książki
wydaje Tow. Wyd. „BLUSZCZ”

Ostatnio ukazała się książka
Jadwigi Kiewnarskiej p. t.

Najdziwniejszy z romansów pani Sand

Do nabycia we wszystkich
Księgarniach :: :: ::

CENA 6 zł.

Na blurko, szafkę z książkami, półeczkę
na ścianie, zrobię sama nowoczesne
ozdoby z blachy według książeczki:

„Rzeczy

ozdobne

z blachy”

Do nabycia w Tow. Wydawn. „BLUSZCZ”
Warszawa, Sołec 87, i Świętokrzyska 17
oraz we wszystkich większych księgarniach
Konto P. K. O. 12.200

Cena 1 zł. 50 gr. z prze-
syłką poczt. 1 zł. 80 gr.

Wszystkim Paniom polecamy

doskonałe książeczki wydawnictwa

„Życie Praktyczne”

Zbiór i przechowywanie owoców
Potrawy z jarzyn
Co można zrobić z mleka
Co można zrobić z owoców
Co trzeba wiedzieć o grzybach
Potrawy i konserwy z grzybów
Potrawy z kartofli
Sałaty i sałatki
Zimne leguminy
Jarzyny na zimę
Książka kucharska dla oszczędnych gospodyń
Kuchnia dziecięca
Nalewki i likiery

Drób i sposoby przyrządzania
Hodowla i tuczenie drobiu
Jarstwo i surówka
Obiady na maszynie
Wina owocowe
Zimne napoje
Zimne zakąski
Wyrób serów
Pieczywo domowe
Sto potraw z jaj
Zioła lekarskie naj lepszym źródłem dochodu
Cukierki i słodycze
Potrawy z cielęciny
Drobne ciasteczka

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Solec 87 i Świętokrzyska 17 oraz we wszyst. większych księg.
Konto P.K.O. 2.200

Cena każdej książeczki 1 zł.

z przes. poczt. 1 zł. 30 gr.

Każda z pań zrobi sama dla siebie, męża i dzieci najmodniejsze kamizelki, swetry, szale i wiele innych rzeczy, przy pomocy doskonałych pomocników

SZYDEŁKIEM

i na

DRUTACH

DLA DZIECI

DLA MŁODZIEŻY

DLA PAŃ I PANIENEK

DLA PANÓW I CHŁOPCÓW

ŚCIEGI SZYDEŁKOWE I NA DRUTACH

Do nabycia

w Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Solec 87
i Świętokrzyska 17 oraz we wszystkich kioskach „Ruchu” i księgarniach

Cena każdej książki 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.